MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 49. WARSZAWA, 19 LISTOPADA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

CHMURY NA DALEKIM WSCHODZIE

PRZED trzydziestu laty rozpoczął się burzliwy okres w dziejach świata wojną rosyjsko-japońską. Od tego czasu niemasz już spokoju w Europie. Obecnie znów gromadzą się na Dalekim Wschodzie chmury, które zwiastują burzę. Są one tak ciemne i tak gęste, iż nie może być wątpliwości co do tego, że bez piorunów i nawałnicy się nie obejdzie. Istnieje już tylko zagadnienie — kiedy? Odpowiedzieć na nie dziś niepodobna, wchodzą tu bowiem w rachubę narody, oddzielone od nas nietylko przestrzenią, lecz także i swemi właściwościami duchowemi, obyczajami i tradycją. Skoro jednak jest rzeczą widoczną, że nowy konflikt wojenny na naszej kuli ziemskiej gotuje się nie w wyczerpanej wojną ostatnią (1914—1918) Europie, lecz na Pacyfiku i jego wybrzeżach, to trzeba sobie zdawać sprawę z tych sił, które wchodzą w rachubę i które zetrą się w krwawych zmaganiach.

Na pierwszem miejscu należy postawić Japonję. Przechodzi ona ciężki kryzys gospodarczy, jak wszystkie kraje świata, lecz mimo to — idzie po drodze rozwoju swych sił wewnętrznych. Po okresie modernizacji na wzór europejski, przyszedł tam okres nawrotu do starych tradycyj narodowych. Przejęto i przyswojono sobie całą technikę europejską, lecz odrzuca się obecnie stanowczo polityczne, społeczne i kulturalne wpływy białego człowieka, nawiązując do obyczaju dawnego. Ruch ideowy, będący odpowiednikiem nowych ruchów narodowych w Europie, znalazł swój wyraz w Japonji w wojsku. Szefowie armji, z gen. Arakim na czele, są dziś przedstawicielami nowej Japonji, która po odpowiedniem przygotowaniu się nawewnątrz szykuje się do akcji zewnętrznej. Bo Japończykom, dosięgającym już 70 miljonów, jest ciasno na wyspach ojczystych. Stąd ich ekspansja na kontynencie azjatyckim przez zajęcie Korei i utworzenie fikcyjnego państwa z Mandżurji. Stąd ich ekspansja na wyspach Oceanu Spokojnego i na wybrzeżu Ameryki. Ekspansja to przedewszystkiem gospodarcza, a dalej ludnościowa i polityczna. Stąd ich dążenia do wysunięcia się na czoło ludów azjatyckich, zorganizowania ich i uniezależnienia od ludzi rasy białej. Ostatnie lata przyniosły niesłychany wprost rozrost handlu japońskiego; towary japońskie wypierają swą tanością towary europejskie nietylko z rynków azjatyckich, lecz także z afrykańskich, australijskich i amerykańskich, docierając nawet do Europy. Za towarem zaś i kupcem japońskim — idą wpływy polityczne... To jest widoczne i jawne; trudniej natomiast zdać sobie sprawę z dróg akcji politycznej japońskiej, która tylko tu i ówdzie ujawnia się na powierzchni życia. Z tego, co wiemy wszakże, wynika z całą pewnością, że Japonja idzie ku wielkiej i rozległej aktywności, że czeka ona tylko na to, by być gotową i by trafić na sprzyjające warunki, ażeby szeroko dać znać o sobie...

Przedmiotem polityki japońskiej są dziś Chiny. Rozbite wewnętrznie i zacofane, jeśli chodzi o nowoczesną technikę i nowoczesne metody działania politycznego, są one jednak silne starą tradycją kulturalną, liczebnością i zaletami swego ludu, położeniem geograficznem i t. d. Pozbawione Mandżurji, pokonane w bezpośrednich bojach, są one dziś wrogo usposobione do Japonji. Nikt nie zdoła wszakże przewidzieć, co przyniesie przyszłość; nikt nie jest w stanie określić, jakie są cele polityczne Japonji w stosunku do Chin. Kto wie, czy Japończycy nie zmierzają — mimo wszystko — do porozumienia z Chinami w imię uniezależnienia ludów azjatyckich od ludzi rasy białej, w imię „autarchji" azjatyckiej? To pewna, że plany japońskie są bardzo rozległe i daleko zabiegające w przyszłość, że przyświecają Japończykom ideały imperjalistyczne, Chiny zaś, po zakończeniu okresu rewolucyjnego, w którym obecnie żyją, mogą się stać wielką potęgą polityczną, gospodarczą i wojskową.

Na kontynencie azjatyckim spotkali się Japończycy z Rosją. Wykorzystali jej słabość przejściową, by zająć Mandżurję i przeciąć najbliższe połączenie z Oceanem. Rosja jest naturalnym przeciwnikiem Japonji na Dalekim Wschodzie, lecz dziś potrzebuje ona i pragnie za wszelką cenę pokoju, robi więc daleko idące ustępstwa, a Japonja bodaj że nie czuje się jeszcze gotowa do walki decydującej. Poprzez Rosję wiążą się sprawy Dalekiego Wschodu ze sprawami europejskiemi. Boć jasne jest, że zaplątanie się Rosji w konflikt zbrojny w Azji, wpłynęłoby na zmianę równowagi sił w Europie.

Wiążą się te sprawy z europejskiemi także poprzez kolonje i interesy wielkich mocarstw europejskich nad Pacyfikiem. Francja siedzi w Indochinach, a W. Brytanja ma swe dominja w Kanadzie i Australji. Pozatem oba te mocarstwa i szereg innych państw europejskich mają swe posiadłości na wyspach Oceanu Spokojnego. Wspomnieliśmy już o wzrastającym konflikcie między Japonją a W. Brytanją na terenie współzawodnictwa gospodarczego i handlowego, co może podważyć istniejące obecnie poczucie wspólności interesów politycznych i tradycyjną przyjaźń dwóch narodów wyspiarskich.

Istotnym, naturalnym współzawodnikiem Japonji na Pacyfiku są jednak Stany Zjednoczone. Nietylko są one najniebezpieczniejszym konkurentem Japonji w dziedzinie gospodarczej i handlowej na oceanie i jego wybrzeżach, przedewszystkiem na kontynencie azjatyckim, lecz przeciwstawiają się ekspansji ludności japońskiej na licznych terenach. Istnieje też w szerokich warstwach Japonji ustalone przeświadczenie o konieczności starcia zbrojnego z Ameryką — w bliższej lub dalszej przyszłości.

Chiny, Rosja, Stany Zjednoczone, Wielka Brytanja, reprezentowana przez swe dominja (Kanada i Australja), Francja i inne państwa europejskie — oto są czynniki, które, obok Japonji, wchodzą w rachubę, gdy się mówi o stanie interesów na Pacyfiku i jego wybrzeżach.

Jak się będą rozwijały wypadki na tym terenie? Jak powiedziałem, trudno tu coś przepowiadać. Należy się jednak obawiać, że do katastrofy może przyjść prędzej, niż się to wielu ludziom wydaje. Bo siły Japonji rosną, ambicje narodu japońskiego wzmagają się, a przyszli partnerzy w rozgrywce są wszyscy w stadjum przeobrażeń wewnętrznych.

Chiny przechodzą rewolucję, Rosja przebudowę wewnętrzną, Stany Zjednoczone weszły w ostrą fazę kryzysu gospodarczego, państwa europejskie mają wyżej uszu spraw i kłopotów własnych. Czy wobec tego wszystkiego nie uznają sfery, kierujące polityką japońską (a więc sfery wojskowe), że trzeba wyzyskać dobrą konjunkturę i urzeczywistnić swe zamierzenia, zanim przeciwnicy Japonji staną się zdolni do energicznego przeciwdziałania? Wydaje się, że niebezpieczeństwo to istnieje, a pośpiech, z jakim prowadzone są przygotowania do porozumienia między Stanami Zjednoczonemi a Rosją, zdaje się świadczyć o tem dość dobitnie.

Przepowiadanie terminów w polityce jest zawsze zawodne, zbyt wiele czynników i zbyt wiele niewiadomych wchodzi tutaj w rachubę. Można natomiast twierdzić, że wielki konflikt zbrojny na Pacyfiku i jego wybrzeżach jest rzeczą nieuniknioną i że jest to bodaj najbliższe niebezpieczeństwo dla pokoju światowego.

Nie brak wprawdzie i w Europie punktów niebezpiecznych i materjału palnego. Złe traktaty pokojowe sprawiły, że groźby wojenne zjawiły się prędzej, niż tego spodziewać się było można, lecz zaognienie się zatargów na terenie europejskim będzie — jak się zdaje — rzeczą wtórną, wywołaną przez zatarg na Dalekim Wschodzie. Jeśli zaś ktoś będzie chciał wykorzystać nadarzającą się sposobność, tym kimś będą przedewszystkiem Niemcy, które mają w pierwszej linji porachunki z Polską. Polityka polska stanęłaby wówczas wobec doniosłych decyzyj. Sądzę wszakże, że nie powtórzyłyby się już spory „orjentacyjne", podobne do tych, jakie przeżyliśmy w roku 1914.

Staje się bowiem rzeczą jasną dla wszystkich, że najważniejszem zadaniem polityki polskiej (i nietylko polityki w następstwie) będzie obrona ziem zachodnich i utrzymanie się przy morzu. Jeśli zaś to będzie dogmatem dla każdego Polaka, to wszystkie stąd wnioski wypłyną same, siłą logiki i konieczności.

STANISŁAW KOZICKI

KRÓLESTWO BOŻE ŚWIATA STAROŻYTNEGO

(RZECZPOSPOLITA PLATONA)

(Ciąg dalszy)

III

LECZ wtedy powstaje pamiętne pytanie, jak taki właśnie rezultat osiągnąć. W tę rozprawę o wychowaniu przyszłych wojowników wkłada Platon wiele swych ulubionych myśli i głębokich przekonań. A jednak należy zwrócić uwagę na wstępne zdanie, od którego się ta część rozprawy rozpoczyna. „Dalej więc, jakby baśń układając, a mając swobodę, wychowujemy tych ludzi w myśli“. Otóż trudno tych słów nie odczuć jako pewnego zastrzeżenia, dotyczącego praktycznych zastosowań rozwijanych poglądów. Te zastrzeżenia, tutaj ledwo zaznaczone, rozwiną się z czasem w sposób bardzo charakterystyczny. Narazie poprzestaje autor na najlżejszem ich zaznaczeniu.

Wychowania nie potrzeba wymyślać na nowo. Zasady jego oddawna są znane. Wiadomo mianowicie, że ciałom potrzeba gimnastyki, a duszom muzyki. A do muzyki należą pieśni i poematy. Do tej więc sprawy nawiązuje Platon daleko idące wymagania swoje, dotyczące oczyszczenia mitologji i pojęć religijnych z tego rodzaju wyobrażań, które uwłaczają samej idei bóstwa. Tutaj wytacza proces poetom, kreślącym kłamliwe obrazy bogów, pełne ich waśni, i sporów, i bójek, i chuci i podstępów. Wiadomo zaś, że takich obrazów mnóstwo jest i u Homera i u Hezjoda, a znajdują się nawet u Eschylosa. Więc niedopuszczalne są zarówno wielkie teogoniczne koncepcje, wiążące rządy świata z poczynaniami Urana czy Kronosa tak potwornemi, że ludzie by się ich wstydzili, — jak pospolite bajki o bogach, włóczących się po nocy, któremi niańki dzieci straszą. Te wywody największy przynoszą zaszczyt Platonowi i czynią z niego przesłańca chrześcijańskiej przyszłości. W istocie, św. Augustyn, pisząc siedem wieków później, nie wiele do jego wywodów w tym kierunku będzie miał do dodania. Jeżeli zaś chrześcijański ojciec Kościoła w swych poglądach teologicznych rozporządza obfitością i bogactwem, o które się filozof ateński nie kusi, to do najważniejszych zdobyczy starożytnego ducha zaliczyć należy zastrzeżenia jego, wypowiedziane tutaj co do charakteru bóstwa.

Więc nietylko straszenie dzieci bogami jest bluźnierstwem, a w dodatku robi z nich tchórzów, ale wogóle to ciągłe przybieranie cudzych postaci, powracające tak często w mitologji i poezji, jest zgoła boga niegodne, „albowiem każdy z nich będąc najpiękniejszym i najlepszym, jakim tylko być może, pozostaje poprostu zawsze w swojej postaci“. „Więc wolne od fałszu w każdym kierunku jest to, co duchowe jest i boskie“. „I jasnem jest, że bóg jest czemś prawdziwem i prostem i jednem w uczynku i w mowie, i ani sam się nie odmienia, ani innych nie oszukuje, ani przez widziadła, ani przez słowa, ani przez nasyłanie znaków czy to we śnie czy na jawie“.

Wreszcie najważniejsze może w tej dziedzinie wypowiedzenie się Platona: „Skoro tedy Bóg dobry jest, nie może być przyczyną wszystkiego, jak twierdzi większość, lecz przyczyną będzie ludziom niewielu rzeczy, wielu zaś nie będzie winien. Albowiem doznajemy wiele mniej dobrego niżeli złego, i otóż dobrego nikomu innemu przypisywać nie trzeba, — złego zaś przyczyn wszędzie indziej szukać należy, tylko nie u Boga“.

Na tem się jednak nie kończy rozprawa Platona z poezją. Prowadzi on dalej bardzo wnikliwe studjum nad pedagogiczną jej wartością, odnosząc ją w szczególności do potrzeb wychowania żołnierzy dzielnych, ale też bezwzględnie karnych i opanowanych duchowo. Więc rażą go u Homera zbyt liczne wzmianki o okropnościach świata zagrobowego, które nie mogą skłaniać ludzi do bezwzględnego wybierania śmierci raczej, niż przegranej lub niewoli. Wytyka mu niegodne zachowanie się wielu u nigo postaci, jak kiedy Priam, bogom bliski, tarza się u nóg achajskich wojowników, albo Achilles traci miarę i dostojność w gniewie lub żalu. To znów oburza go grubjaństwo bogów Homera, wybuchających śmiechem na widok utykającego Hefasta. Za kłamliwe ogłasza opowieści o włóczeniu Hektora lub ofiarach ludzkich, składanych na grobie Patrokla.

Następują nader ciekawe uwagi o różnym wpływie nietylko różnych rodzajów literackich, ale także różnych form i miar wiersza. Te ostatnie są w pełni przystępne tylko wytrawnym filologom, natomiast jasnem jest z poprzednich, że Platon pierwszeństwo przyznaje rodzajom opowiadającym nad naśladującemi, uznając naśladowanie, zwłaszcza aktorskie, za niezgodne z powagą obrońców ojczyzny — największy jednak położy nacisk na uszlachetniający i kształtujący wpływ muzyki. Pojmuje on ją oczywiście bardzo szeroko, trochę podobnie jak u nas Cieszkowski, który w „Drogach Ducha“ uznał t o n za właściwy element wszelkiej sztuki. To też „najważniejszem wykształceniem jest wykształcenie muzyczne, ponieważ najgłębiej wnika w duszę rytm i harmonja i najpotężniej jej się ima, przynosząc jej ogładę, jeżeli ktoś należycie jest wyrobiony, a coś odwrotnego, jeżeli nie“. Muzyka łagodzi i przeobraża nawet najgwałtowniejsze namiętności. A kto pamięta ówczesny stan obyczajów greckich, który najlepiej poznajemy właśnie z djalogów Platona, ten oceni to jego orzeczenie, że „prawa miłość na tem polega, by kochać to, co uczciwe i piękne w sposób roztropny i muzyki pełny“.

Gimnastyka jest muzyki siostrzycą. Ta nadaje miękkość i strojność nietylko duszy, ale i ciału, tamta obdarza pewną trwałością i gwałtownością nietylko ciało, ale i duszę, zatem uzupełniają się i współdziałają. To też, kto najlepiej połączy muzykę z gimnastyką i z najdoskonalszą miarą do duszy ją wprowadzi, tego słusznie nazwiemy najbardziej muzykalnym i sharmonizowanym, o wiele raczej niżeli takiego, który struny ze sobą zestroić umie. A ta doskonała równowaga, ten pełny rozwój sił duchowych niezbędny jest obrońcom państwa, jeżeli naprawdę nimi być mają. „Albowiem

nic gorszego i bardziej zawstydzającego być nie może dla pasterzy, jak hodowanie takich psów pasterskich i w taki sposób, że same psy, czy to z rozpuszczenia, czy to z głodu, czy też ze złego przyzwyczajenia, usiłują krzywdzić owce i raczej do wilków, niżeli do psów są podobne".

Surowy, wstrzemięźliwy tryb życia przystoi tym, którzy na straży państwa stać mają, a uderzające są objawy, w jakich Platon upatruje skutek braku wewnętrznej i zewnętrznej dyscypliny życia. Za sromotę uważa, gdy człowiek, nie z gminu pochodzący, ucieka się do sądów i ciągle potrzebuje pomocy „drzemiących sędziów", jakby sam nie wiedział, co słuszne i sprawiedliwe. A podobna nagana spotyka tych, co nadużywają sztuki lekarskiej, która nie po to istnieje, by przy nędznem życiu utrzymywać nieuleczalnie chorych oraz takich, którzy niszczą zdrowie przez rozwiązłość i rozpustę. Tu należy przyznać wyższość zapatrywaniom ludzi z prostego ludu, którzy wiedzą, że nie mają czasu chorować.

IV

To, coby nazwać można właściwym problemem ustroju państwa, gra u Platona uderzająco skromną rolę. I zapewne słusznie. Formy organizacji, normy działania instytucyj politycznych mogą być bardzo różne przy podobnych społecznych, historycznych czy duchowych podstawach. A o te właśnie jedynie chodzi Platonowi. W jego języku wyraża się to tak, że „jeden tylko rodzaj państwa być może, mianowicie ten, który omówiliśmy, ale nazywany być może podwójnie. Jeżeli jeden człowiek odznacza się pośród rządzących, to będzie się nazywał królestwem, a jeżeli więcej — arystokracją". — Gdzieindziej zastrzega znów tylko, że do rządów powołani będą oczywiście nie młodzi, lecz starsi z pośród wojowników, ale wypróbowani od młodości jako najlepsi, odporni na pokusy, nie podlegający zmiennym mniemaniom. Tu odzywa się ukochana myśl Platona, wedle której wiedza od mniemania jest nie stopniowo, lecz rodzajowo różna. Tylko kto zna świadomość niezmienną już i niezłomną pewność, ten dorósł do kierowniczej roli w państwie.

Wiadomo natomiast, że najwięcej pracy i umiłowania wkłada Platon w pomysł zorganizowania owych „stróżów państwa", ich trybu życia, ich przygotowania, ich działalności. A widzieliśmy, że, będąc kastą wojowników, mają oni być zarazem rozsadnikiem przyszłych piastunów wyższych jeszcze w państwie funkcyj. Porównywano wyobrażoną przez Platona instytucję do zakonów rycerskich średniowiecza i to zupełnie słusznie. Nawet widownie jednego i drugiego przedsięwzięcia nie są zbyt odległe od siebie. Nie jest daleko z Aten na Rodus, na Maltę, albo choćby do Ziemi Świętej. Ale dla zrozumienia i oceny myśli Platona słuszniejszem się zdaje nie wybiegać myślą tak daleko w przyszłość, a poprzestać na pojęciu z a k o n u wogóle. Oczywiście, mógł Platon pozostawać pod wpływem jakichś reminiscencyj, przyniesionych ze Wschodu czy z Południa, mimo to pozostanie tym, który w zachodnim świecie pierwszy sformułował pomysł zgrupowania do wspólnego życia ludzi, poświęconych zupełnie służbie idealnego celu. A jeżeli sobie przypomnimy dalej, że wprawdzie już po wielkim, chrześcijańskim przełomie, ale przecież jeszcze na łonie tej samej greckiej kultury, przesiąkniętnej platonizmem, zrodzą się i rozkwitną instytucje klasztorne, to jeden raz więcej ocenimy wielkość Platona, wyrażającą się czy to w przewidywaniu, czy też we wpływie.

Bo w istocie, choć Platon nie szczędzi słów gorących, a niewątpliwie szczerych na określeniu wysokiego szczęścia, którego dostąpią stróże ojczyzny, nie podobna nie stwierdzić, że nakłada na nich obowiązek bohaterskiego poświęcenia i zaparcia się siebie, choć słownictwo jego nie zna tych wyrażeń. W istocie stróże powinni żadnej nie posiadać własności: ani domów, ani ziemi, żyć wspólnie, jak w obozie, poprzestając na skromnym żołdzie, przyznanym im przez współobywateli, „a co się tyczy złota i srebra, to należy im przypominać, że zawsze mają w duszy boskie, od bogów im dane, a ludzkiego wcale im nie potrzeba". A wręcz zagadnięty o los, jaki gotuje owym wojownikom, Sokrates djalogu odpowiada, że celem tu nie jest szczęście jednej grupy obywateli, lecz że chodzi o górujący nad niem wzgląd na dobro całości. Zresztą ta surowość życia i to wyrzeczenie się u najważniejszej społecznie klasy, tę będzie miało korzyść, że usunie opłakane źródło słabości państw innych, mianowicie bogactwo i ubóstwo. One psują każdą sztukę, bo odbierają jej wykonawcom albo możność, albo ochotę do pracy. W dodatku dzielą miasto każde na dwa obozy: bogatych i biednych, a wrogowie postronni dobrze umieją to wyzyskać. Państwo idealne, wolne od tej usterki, dopiero zasłuży na miano prawdziwego państwa. W niem pokolenie obrońców, jak posiew rycerzy z pod ziemi wyszłych, za matkę uważać będzie ziemię rodzicielkę a współobywateli za braci.

A co się przytem Platonowi marzy, to na jaw wychodzi wówczas, gdy pada pytanie: „Czyż nie helleńskiem będzie miasto, które ty zakładasz?" „Czyż obywatele jego nie będą miłośnikami Hellenów, czyż nie będą brali udziału w tych samych co inni świętych obrzędach?" A Hellenowie, nawet gdy z sobą walczą, z przyrodzenia są sobie przyjaciółmi, tylko że wówczas Hellada chorzeje i jest rozerwana, i tego rodzaju walki niezgodą tylko nazywać trzeba.

Więc miasto jego marzenia usunie okrucieństwa i sromoty peloponeskiej wojny i ono Hellenów pomiędzy sobą pojedna. Bo czyż jest rzeczą godziwą, by Hellenowie helleńskie miasta zaprzedawali w niewolę, zamiast wprowadzać w zwyczaj oszczędzanie ich, z myślą o grożącej od barbarzyńców niewoli? Albo czy jest do pojednania z godnością człowieka wolnego obdzieranie poległych, czyż raczej nikczemnością nie jest to pastwienie się nad zwłokami, tą porzuconą bronią wroga, który sam daleko odleciał? A cóż powiedzieć o pustoszeniu ziemi helleńskiej, o niszczeniu zabudowań! Te wszystkie nadużycia wojownicy nowego rodzaju gruntownie usuną, walczyć będą jak ludzie, którzy mają się pogodzić. „A Hellenami będąc, Hellady nie będą pustoszyć, ani domów podpalać, ani też w mieście każdem uważać wszystkich za swych nieprzyjaciół, i mężów, i kobiet, i dzieci, lecz za nieprzyjaciół zawsze niewielu tylko poczytają, mianowicie sprawców niezgody".

Więc myśl Platona swobodnie wzlata, a jednak kołuje około przedmiotów nader realnych, znanych mu z doświadczenia, bliskich zawsze jego pamięci. Z innej dziedziny są tego uderzającym dowo-

dem zwroty jego, skierowane przeciw przerostowi ustawodawstwa, przeciw próbom prawnego unormowania wszelkich szczegółów i położeń, co do których nie jest rzeczą słuszną narzucać przepisy ludziom dobrym i prawym. A wcale konkretnie, wcale żywo, gdy zważymy na współczesne zwyczaje greckie, brzmi i to orzeczenie, że jeszcze nieustalone urządzenia, a to największe i najważniejsze i najpierwsze, nie ludzkich prawodawców rzeczą być mają, lecz winny być pozostawione Apollinowi w Delfach, — o ile mianowicie chodzi o budowę świątyń i ofiary, o kult bogów i demonów i półbogów, o grzebanie umarłych i te obrzędy, które mają nam zapewnić przychylność bóstw podziemnych. „Bo na tem my, zakładający miasto, się nie znamy, ani też nikogo innego nie posłuchamy, jeżeli mamy rozum, ani innego nie zechcemy mieć przewodnika jak tylko ojczystego boga".

Wśród pomysłów Platona, dotyczących urządzeń idealnego państwa, jest jeden, który cieszy szczególną, a nawet powiedzieć można wyłączną popularnością, mianowicie wspólnota kobiet i dzieci w klasie wojowników. W księdze czwartej zaledwie napomknięta, zostaje ta zasada w piątej istotnie rozwinięta z całą, mechaniczną niejako bezwzględnością. Platon upraszcza sobie nadmiernie zadanie, przyjmując jako przesłankę, że pomiędzy mężczyzną a kobietą zachodzi tylko różnica stopnia siły, że istotnych, głębszych różnic niema, że zatem nic nie stoi temu na przeszkodzie, by kobiety, uznane za słabszych jedynie towarzyszów mężczyzn, dzieliły w zupełności tryb ich życia. W tych warunkach związki małżeńskie, nie pozbawione uroczystości, zawieraneby zostały — zbiorowo, i stosunki między tak zaślubionymi byłyby również zbiorowe, regulowane w kierunku eugeniki za pomocą naiwnie chytrych podstępów.

Jest rzeczą dziwną, że nie brak ludzi, którzy w całej treści „Rzeczypospolitej" pamiętają tylko to jedno, co jest najsłabszym jej punktem. Bo w istocie tak prostackie rozwiązanie trudności nie przynosi wielkiego zaszczytu genjalnemu synowi dostojnej Peryktjony, a może raczej tylko wymownem jest świadectwem moralnego niedokształcenia przedchrześcijańskiego świata.

Jakkolwiekbądź zwrócić i na to trzeba uwagę, w jakiej formie i intencji ów pomysł kolegjalnego małżeństwa przez Platona jest wysunięty. Otóż przedewszystkiem odnoszą się do niego te wahania, dotyczące możliwości zrealizowania państwa i ideału wogóle, które sam Platon jeszcze wysunie. Następnie wydaje się uzasadnioną uwaga, że jest to pomysł wtórny, bynajmniej nie czołowy, co wynika z jego miejsca w djalogu, a także z tej okoliczności, że w księdze trzeciej, mówiąc o obowiązku rządzących nie wprowadzania na wysokie stanowiska s w y c h p o t o m k ó w, o ile odpowiednich nie wykażą zdolności, Platon zupełnie nie wspomina o ustroju rodzinnym, któryby odróżnienie swoich od cudzych potomków zgoła uniemożliwił.

Wreszcie i na początku księgi piątej, gdzie program ten zostaje przedstawiony, nie pojawia się on prostym sposobem w ciągu wykładu. Platon bardzo wyraźnie podnosi, że Sokrates zostaje przez swych słuchaczy zaskoczony i bardzo wyraźnie przymuszony do przedstawienia im tej rzeczy jako niezwykłej, a z umysłu przez niego pominiętej. Pada przytem uwaga, że owa wspólnota może być na różne sposoby pojęta, i Sokrates ma ustalić, jaki mianowicie ma na myśli. Przystępując do tego, Sokrates wyraźnie zaznacza, że chodzi o rzecz trudną i budzącą niedowierzanie. To też „dotyka jej z obawą", by nie mniemano, że zupełnie nie mówi na serjo.

(dok. nast.) ADAM ŻÓŁTOWSKI

CHYBIONA EPOPEA

(BORYSA PILNIAKA: „WOŁGA WPADA DO MORZA KASPIJSKIEGO")

WYDANA w przekładzie polskim Władysława Broniewskiego (nakładem warszawskiej „Alfy") powieść Borysa Pilniaka p.t. „Wołga wpada do Morza Kaspijskiego" wywołała ogólne zainteresowanie i szereg recenzyj. Przyjęta z entuzjazmem, poruszyła umysły a podobno też wywarła pewien wpływ na naszych pisarzy. Wielu krytyków zwracało uwagę na to, iż konstrukcja, a często i styl głośnej powieści Michała Choromańskiego „Zazdrość i medycyna" są typowo pilniakowskie, i że książka sowieckiego pisarza zaważyła bardzo na formie dzieła polskiego autora. Poczytność „Wołgi", nawet peany i okrzyki entuzjazmu są w dużej mierze zrozumiałe: nie ulega wątpliwości, że z pośród całej beletrystyki sowieckiej, jaką się tłumaczy i wydaje po polsku, powieść Pilniaka — w porównaniu z elaboratami Ogniowa, Sejfulinej, Pantelejmona, Romanowa, Leonowa, Głudkowa—stoi najwyżej, nie jest tandetą literacką, nie jest tylko ubraną w kiepską formę artystyczną—propagandą polityczną, bez wartości literackiej, czy ściślej beletrystycznej. Przeciwnie, „Wołgę" czyta się z przyjemnością (nie „nudzi" bynajmniej, jak to ma miejsce z większością powieści sowieckich), posiada też cały szereg niezaprzeczonych wartości artystycznych, zarówno w dziedzinie konstrukcji, jak i psychologji, w zakresie stylu, czy w sposobie opowiadania.

Czytelnicy, żądni sensacji, jaką jest dla nich niewątpliwie wszystko, co się dzieje po tamtej stronie wschodniej granicy, zarówno ci, dla których zaczyna się za tą granicą „Nowy wspaniały świat, Raj na ziemi", czy tacy, dla których jest tam Państwo Antychrysta, Państwo Zła i Wielkiego Chama" — z jednakową chciwością rzucali się na ten dokument, jakim jest „Wołga", by zaspokoić ciekawość co do tego, „jak tam jest"... I rzeczywiście: szczegółów z życia sowieckiego i to szczegółów ciekawych, nowych, nieznanych znajdzie się w powieści dużo — jednem słowem, ukazanie się „Wołgi" po polsku należy uznać za zjawisko wydawnicze poważnej miary. Zarówno jednak czytelnicy, jak i większość krytyków—przesadzili w zachwytach: oto „Wołga wpada do morza Kaspijskiego", w mniemaniu bardzo wielu osób, zaawansowała na stanowisko epopei... epopei pracy, epopei nowego życia, nowych ludzi, nowej miłości, przyczem „nowy" — czytaj w większości wypadków, jako „lepszy"...

Superlatywy te miały źródło przeważnie bardzo dalekie od kryterjów czysto artystycznych. Warto natomiast stwierdzić, że istotnie autor miał zamiar stworzenia takiej epopei i z powieści widać, że danych na epopeję jest niemało. A więc istotnie „Wołga wpada do morza Kaspijskiego" jest epopeją, ale epopeją chybioną.

Dlaczego?..

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, przyjrzyjmy się po kolei tym wszystkim problemom, których afirmacją artystyczną, epicznem unieśmiertelnieniem stać się miała powieść Pilniaka. Spróbujmy, o ile to będzie możliwe, przedstawić te problemy w czterech stadjach: jak je tworzy i pojmuje ideologja marxowska, jak się realizują one przy zetknięciu z rzeczywistością współczesnego życia rosyjskiego czy ludzkiego wogóle; jak pomyślane były przez Pilniaka, oddanego ideologji komunistycznej pisarza, i wreszcie jak się w dziele pisarza zrealizowały, jakie przybrały na się kształty artystyczne w trakcie tworzenia.

Miała więc być „Wołga" epopeją pracy. Pracy planowej, zorganizowanej, pracy gigantycznej, z trudem i z ofiarami dokonywanej przez jedno pokolenie dla dobra pokoleń przyszłych. Co więcej, praca ta — w danym wypadku budowa olbrzymiej tamy, przy której pomocy odwrócony ma być bieg rzeki Oki—prócz konkretnego wyniku praktycznego ma być ogniem probierczym, w którym zahartują się stalowe dusze „nowych" ludzi. Podtytuł, skromny, ale wymowny: „Powieść o piatiletce"—wskazuje na to, że autor przedewszystkiem miał ambicję stworzyć właśnie epopeję pracy.

Nie stworzył jej. Pierwszem uchybieniem przeciw surowym, trzeźwym wymaganiom cywilizacji i estetyki komunistycznej było posługiwanie się tematem fantastycznym. Estetyka proletarjacka każe nam wierzyć we wszechmoc literatury faktu, każe widzieć wzniosłość i piękno w szarości życia codziennego i ciężkiej, prozaicznej pracy. Efektowny, godny Juljusza Verne'a, czysto fantastyczny pomysł odwrócenia biegu potężnej rzeki niewątpliwie budzi podziw dla rozmachu... wyobraźni kierowników planowej gospodarki, nie przekonywa jednak o jej wynikach konkretnych.

Co więcej, Pilniak w „powieści o piatiletce", w powieści o pracy—jak najmniej właśnie pokazał nam tej pracy. Widzimy inżynierów, którzy wyjeżdżają na roboty, ale nie widzimy, jak pracują; rozczula — szczególnie człowieka, znającego Rosję przedwojenną—schludność i porządek w jadłodajni robotniczej, a do uchylenia czoła zmusza zdolność robotników do samodzielnej gospodarki pieniężnej i świetne orjentowanie się w liczbowych elementach pracy—o, oni nie dadzą zbałamucić się cyframi i frazesami! — ale czytelnik napróżno szuka choćby jednego obrazu konkretnego tej ciężkiej, wytężonej, imponującej, zbiorowej pracy, mającej posuwać gigantycznemi krokami naprzód cywilizację proletarjacką... Niema tam obrazu pracy nawet takiego, jak w... „Humoreskach z teki Worszyłły" Henryka Sienkiewicza!..

Niema więc samej pracy. Ale są ludzie pracy. Któż to?.. Stary profesor, Polietika, od wczesnej młodości bolszewik ideowy, obecnie z samozaparciem pracujący dla dobra Sowietów... są i młodsi inżynierowie: Laszlo, Sadykow... Tak, Sadykow — to naprawdę jedyny, prawdziwy komunista, proletarjusz, dziecko ludu, które dzięki własnej pracy i poświęceniu dochodzi do coraz to większego znaczenia, staje się pracownikiem mózgu, ale z Pilniakiem zaszedł ten sam tragiczny — gdy chodzi o artystyczne walory całości — wypadek, który zdarzył się nieraz i innym, wybitniejszym odeń artystom, między innymi i Sienkiewiczowi: oto w całej, naprawdę żywej i barwnej galerji bohaterów „Wołgi" zjawia się jeden ideał rycerza, w danym wypadku rycerza pracy i „nowej epoki", istny monolit charakteru, woli i ideologji — i rycerz ten, wzór, bohater właściwy epopei — nie jest żywym człowiekiem. Papierowość Sadykowa wystąpi jeszcze silniej, gdy będzie mowa o „nowej miłości", żywi natomiast i prawdziwi są: Polietika i Laszlo. Ale czyż to „nowi ludzie"?.. Nie, od samego autora wiemy, że są to inteligenci, ludzie, którzy wyszli z atmosfery starego świata (Laszlo jest nawet cudzoziemcem) — więc ich praca dla ideologji marxowskiej, to wkład dobrowolny starego, „zgniłego", burżuazyjnego świata.

Ta niemoc tragiczna, która sprawiła—iż mimo całej chęci — potrafił Pilniak z bohatera „prawdziwego" uczynić manekin jedynie, a pełnię życia wlać w ludzi ze starego, burżuazyjnego świata (choćby i „nowym ideom" służyli)—wypływa z wewnętrznego rozdarcia w psychice samego pisarza. U nas w Polsce, gdzie się bliżej nie zna literatury sowieckiej, przyjęto powieść o piatiletce jako objawienie ducha, kultury, sztuki i psychiki komunistycznej, tymczasem Pilniak wcale nie należy do typowych, bezwzględnie prawomyślnych pisarzy sowieckich. Jest on jednym z tak zwanych *„poputczikow"* (dosłownie „towarzyszy drogi"), czyli sympatyków *régime*'u i ideologji marxowskiej, jednym ze stuprocentowych rosyjskich inteligentów, którzy uznali potrzebę rewolucji, co więcej, entuzjastycznie ją powitali i oddali jej celom na usługi swój talent i pióro — niemniej jednak są to psychiki „burżuazyjne", „indywidualistyczne", niezdolne do zrozumienia i przystosowania się do nowej atmosfery. To też toleruje się ich tylko, w braku prawdziwie proletarjackich pisarzy; gdy jednak (na co długo już się czeka w Z.S.S.R. i ani rusz nie można się doczekać) zjawią się wybitne jednostki twórcze, z proletarjatu pochodzące, kierownictwo pracy nad kulturą komunistyczną z radością i ulgą pozbędzie się *„poputczikow"*. To też tragikomicznem nieporozumieniem jest fakt, że epopeję pracy zorganizowanej pisze człowiek, bezskutecznie choć i uparcie, w wierze najlepszej — starający się wyzbyć swej starej, inteligenckiej duszy i wżyć się w psychikę tego nowego świata. Świat ten namiętnie kocha, ale nie może go zrozumieć; a taki, co go rozumie, co po nowemu czuje, co sam cząstką tego nowego świata jest — nie potrafi, nie umie o nim napisać. I oto staje się rzecz dziwna: tam, gdzie wolno Pilniakowi pisać o ludziach tak, jak pisać chce, jak pisać umie — on, typowy powieściopisarz inteligencki ze szkoły Dostojewskiego i Andrejewa — powstają pod jego piórem prawdziwe arcydzieła: ludzie żywi — ludzie źli, szkodnicy społeczeństwa, elementy ciemne, amoralne, złowrogie, okazy, które się ściga i niszczy w imię zbiorowego dobra, w imię „świetlanej przeszłości"—ale są to naprawdę ludzie, nie manekiny, nie papierowi bohaterzy — ale wzruszający, wstrząsający, tragiczni, prawdziwie żywi ludzie!...

Takim jest były kontrrewolucjonista, inżynier-szkodnik, erotoman Połtorak — jakże ciężko

się rozstać autorowi z tym Połtorakiem!.. jak chętnie zwierza nam jego prawdziwe, niewymyślone, ludzkie, „zgniło burżuazyjne,“ inteligenckie myśli!... Razem z Połtorakiem przeżywamy to, co on przeżywa, z czem w sobie walczy, co w nim jest podłego, chorobliwego, ale ludzkiego... O tem, co czuje i myśli idealny komunista Sadykow, autor nam mówi od siebie — musimy mu wierzyć na słowo, jak przed stu laty wierzyliśmy Walter-Scottowi, gdy mówił nam, o czem myślał Ryszard Lwie Serce lub dzielny Montrose; w Połtoraku jednak i w starym chłopie—kułaku, który się „uburżuił“, Skudrynie, i w handlarzach staremi meblami, braciach Bezdietowych — otwiera się przed nami cały świat uczuć, myśli, dążeń, marzeń, — świat, o wiele bardziej bliski i zrozumiały autorowi, niż uproszczone, „uszlachetnione“ ideologją komunistyczną i pracą, nieskomplikowane, jednolite psychiki postaci dodatnich...

Autora rozsadza ta instynktowna, nie narzucona sobie miłość do tych dawnych, usuniętych za nawias nowego życia, „nikczemnych ludziszkodników“. I nietylko do ludzi — razem z Bezdietowymi kocha stare meble, i te „*empire*“, i z czasów Pawła i Katarzyny, i sympatyczna dlań jest „burżujka“ wdowa, posiadaczka stylowch mebli, i bliski, drogi — wiew i poszum przeszłości, który przemawia ze starej figury Chrystusa, ze wszystkich zakątków starodawnego miasta Kołomny i legendą owianej wieży Maryny Mniszchówny.

Owszem, jest jedna postać z obozu komunistycznego, buchająca życiem prawdziwem, godny towarzysz „bosiaków“ Gorkija — brat Skudryna, Ożogow. Ale ten jedyny żywy człowiek z pośród proletarjuszy-komunistów, za nawias jest wyrzucony tworzącego się, nowego życia: niezdolny on do twórczej, produktywnej pracy... Gdy była rewolucja, wojna domowa — służył ideologji marxowskiej, na swojem był miejscu... Lecz gdy, po zburzeniu przeszłości, nadeszła chwila budowania przyszłości — nie znalazło się miejsca dla Ożogowa, „brodiagą“ się stał, bezdomnym, żyjącym, z grupą sobie podobnych, z jałmużny, z fortelów i zręczności w opuszczonej cegielni. Jest w nim coś z Pankracego, który umiał zburzyć, lecz niczego nie porafi wznieść na gruzach — oto nowa, prawdziwa tragedja prawdziwego człowieka rewolucji!

A „nowa“ kobieta, nowa miłość... „Wołga wpada do Morza Kaspijskiego“, o wiele bardziej, niż powieścią o piatiletce, jest typowym, rosyjskim romansem erotyczno-psychologicznym, naładowanym w wysokiem stopniu neurastenją i histerją erotyczną. Histerja te cechuje przedewszystkiem Połtoraka. Trzy kobiety przeszły przez jego życie — wszystkie trzy o imionach symbolicznych: Wiary, Nadziei i Miłości (Wiera, Nadieżda, Lubow), wszystkie unieszczęśliwił, a czwartej — Zofji śmierć podłością, z chorobliwej erotomanji wypływającą, przyśpieszył. Nic nowego niema w tej powieści. Pilniak jednak wierzy, że „nowy“ świat, nowe poglądy ocalą kobietę od takich Połtoraków, potrafią znaleść dla jej uczuć odpowiednie objekty i bardziej pożyteczne pola działania — przejdźmy więc do życia erotycznego komunistów: jeszcze na długo przed rewolucją, młody Laszlo odebrał profesorowi Polietice żonę, ożenił się z nią, mieli dzieci, byli szczęśliwi. Polietika nie mógł nigdy przeboleć straty, ale jako mężczyzna przemógł się — oddał się pracy. I oto po wielu, wielu latach spotykają się: i Polietika, i Laszlo, i żona najpierw jednego, potem drugiego. Dwaj mężczyźui pracują obok siebie dla ideologji marxowskiej, pracuje też i córka Polietiki, Lubow — kobieta wartościowa — znowu, niestety, blada kreacja artystyczna. Lubow zakochuje się w niegodnym jej miłości Połtoraku, ale umie w czas odejść — i w tem tkwi jej siła: oto kobieta przyszłości — woła autor. Tak, ale nas nie przekonywa artystyczna, „monolitowa“ koncepcja Lubowi, i więcej przejmujemy się cierpieniami i przeżyciami Wiery, Nedieżdy i Zofji — kobiet starego typu, słabych, niezdolnych do walki. Ta sympatja, którą autor otacza — często wbrew woli (gdy chodzi o Nadieżdę) te kobiety — stawia go znowu w rzędzie pisarzy, niczem nie różniących się od europejskiego, burżuazyjnego „podejścia” do tych zagadnień. Ale wreszcie powieściopisarz zdaje egzamin z prawomyślności ideologicznej: Marja, żona idealnego komunisty Sadykowa, zdradza go z Laszlo. W myśl uproszczonej etyki erotycznej Sadykow każe Marji odejść — i tu ogarnia nas zdumienie: autor każe nam wierzyć, że idealny komunista cierpi, ale my tego nie widzimy — natomiast widzimy, jak cierpi biedna kobieta, dla której słabości „nowe Jutro“ nie znajdzie żadnego przebaczenia, nawet żadnej sposobności do pokuty i poprawy.

Potrafimy zrozumieć i Połtoraka, i Marję, i Laszlę — potępimy ich słabość — ale w imię „nowego Jutra“ nie możemy wraz z autorem rzucić w nich kamieniem, bo oni — to ludzie żywi, którzy grzeszą, cierpią i pokutują lub giną, natomiast ta „nowa miłość“, jak przedstawia ją Pilniak — to nielicząca się z psychologją ludzką formuła, dobra dla ludzi papierowych, jak Sadykow, nie do przyjęcia jednak dla pełnych, żywych ludzi, dla których miłość nie jest tylko funkcją fizjologiczną, czy umownym związkiem dla wspólnej pracy, ale tragiczną Mocą, jak pojmowali ją i Dante, i Szekspir, i Dostojewskij, i jak pojmuje ją — co przebija z każdej karty „Wołgi“ — Pilniak, który napróżno się stara podporządkować swą twórczą indywidualność i w tej dziedzinie — formułkom ideologicznym. Najbardziej dydaktyczny moment erotycznej akcji powieści: spokojne, „męskie“, proletarjackie rozejście się Sadykowa, papierowej postaci, i biednej Marji — jest zarazem najbardziej blady i najsłabszy zarówno pod względem siły ekspresji artystycznej, jak i motywacji psychologicznej!...

Zawiodła więc epopea na wszystkich polach — zawiodła, bo pisał ją człowiek, który nie umiał tak czuć, jak chciał, ani zrozumieć tego, co chciał. Pozostaje jednak dokument życia pewnego środowiska, próbującego na miejsce wszystkich dawnych form bytu, i myślenia i odczuwania — wprowadzić nowe. I właśnie, jako takiego dokumentu — bezsporna jest wartość powieści Pilniaka. Ma ona i inną wartość: artystyczną, ale w pojęciu „czysto-burżuazyjnem“, i to w tych wyłącznie momentach, gdzie nie stara się być rapsodem tworzącego się nowego świata, ale wzruszając i porywając przeżyciami żywych ludzi — daje dowód niezbity, że są w dziedzinie sztuki pewne podstawowe kanony, których ni czas, ni wola ludzka zmienić nie może.

TEODOR PARNICKI

LILJA WODNA

Wśród zielonych wód obszarów,
Przytwierdzona w ile do dna,
Rosła w stawie Lilja wodna,
Urodzona z Nenufarów.

Wkoło — bracia jej grążele
I roślęży gąszcz splątana;
Falmi była kołysana:
Tak wzrastało ono ziele.

Szczupak nieraz, wiecznie głodny,
Gwoli jadłu albo karze
Polujący na jazgarze,
Dotknął pletwą Lilji wodnej.

Lin, ospaluch utuczony,
Z iłu wyjrzał i, nierącze
Ruchy czyniąc, pchnął jej kłącze
Słabe, chwiejne, bez obrony.

Spoglądała na te ryby
Pełna trwogi i tęsknoty,
Rosnąc w górę, gdzie ją złoty
Blask przynęcał wodnej szyby.

Aż w majowe młode rano,
Pąk liljowy z ciemnej toni
Na powierzchnię się wyłoni
Nową, jasną, niespodzianą.

Niebo jarzy się ogniście,
Stoi trzcin młodzieńczych rzesza,
Wkoło Maj szelesty wiesza
Na ich wiotkie jeszcze liście.

Stworzeń pełno tu, bez liku,
Dziwnych, ale jedno zwłaszcza
Lilji sobie wzrok przywłaszcza:
Był to Pływak (patrz w słowniku).

Oto zarys jego bytu.
Tnie na lustrze wód zygzaki
W dzień, a nocą w tataraki
Wlazłszy, drzemie tam do świtu.

Tego pyta najpierw z osób,
Grasujących z wierzchu toni:
Co to w górze tak się płoni?
Rzecze Pływak jej w ten sposób:

— „Tam, uważasz, rośnie słońce,
Taki kwiat, co promieniście
Zwiesza ku nam złote liście,
Których w wodzie macza końce.

Skaczę nieraz tak wysoko,
Że się blisko znam z tym kwiatem;
Choć niektórzy wróżą stratę,
Gdy nań patrzeć oko w oko.

Wie się, wie się to i owo:
W całym stawie z wiedzy słynę...
Ot, uważasz, w tamtą trzcinę,
Nie celując, trafię, głową...“—

Lśniąca w tym słonecznym świecie,
Barw mieniących się igraszka —
Brylantowo - skrzydła Ważka
Rozkochała się w jej kwiecie.

I w niebieskość aksamitną
Wabi Lilję: — „Patrz, muślinem
Owinięta, w górę płynę...
Pachną łąki, miedze kwitną...“

— „Ach, dlaczegom nie skrzydlata?“ —
Biada Lilja. — „Wzlecieć pragnę...
Czemu, czemu mnie z tem bagnem
Nieżyczliwa dola splata?“

— „Zaradzimy łatwo smutkom“ —
Rzecze Pływak. — „My, pływaki,
Wiemy, gdzie zimują raki“ —
Rzekł i znikł na chwilę krótką.

Poczem wrócił, wiodąc Raka
Z długim wąsem, parą kleszczy —
— „Dobry gad, choć kształt złowieszczy“ —
Mówi — „taka rzecz i taka.“

Rak wysłuchał. — „Poradzimy,
Owszem, na to z chęcią miłą...“
I kleszczami niby piłą,
Przerznął Lilji pień rodzimy.

Wolna! wolna!... W przestwór wielki
Płynąć, lecieć z biegiem fali,
Tam najlepiej, gdzie najdalej
Od łodygi rodzicielki!..

Rada, że ją prądy niosą,
Płynie Lilja, niby tratwa.
Dobrze, lecz się sprawa gmatwa,
Gdy chce frunąć ku niebiosom.

Leci Ważka - przyjaciółka
I zaprasza ją w powietrze:
Ach, daremnie — coraz bledsze
Lica Lilji: na nic spółka.

Coraz dalej rwie ją fala,
Burt ją czasem trąci łodzi;
Nieraz wiosło ją ugodzi,
Biały liść jej łamie, kala.

Ni spoczynku, ni przystani
Nie mający kwiat tułaczy
Rychło, rychło zwiądł z rozpaczy.
Tak to bywa, proszę pani.

1901

JAN LEMAŃSKI

NA WIDOWNI

Sanacyjna radjoaktywność. — „Budowa" kultury u nas i na Zachodzie. — Wychowanie Elity czy kolczykowanie. — Kultura i chuć polityczna. — Wodotrysk gdzie stał Paskiewicz.

ZDARZYŁ mi się w tych dniach w podróży koleją osobliwy wypadek. Wpadłem w radjo.

Siedziała obok mnie jakaś dorodna para. On z tych, co nie lubią tracić czasu. Na uszach miał słuchawki radjowe, jednocześnie czytał gazetę, palił papierosa, a lewą ręką manipulował między towarzyszką, której obecność z upodobaniem sprawdzał, a szklanką herbaty, stojącą pod oknem. Jednem słowem ktoś bardzo kulturalny, co ma dużo potrzeb i umie je zaspokajać. Ponieważ jednocześnie miarowo wykonywał ruchy nogą, założoną na nogę w moją stronę, więc to mnie wreszcie uśpiło. Zdrzemnąłem się.

W pewnym momencie wydało mi się, że śnię jakiś cudowny, melodyjny sen: jakby skądś zdaleka dochodziło słodkie kwilenie ptasząt, jakby płyta gramofonu z czwartego pokoju. Obudziło mnie dotknięcie głową o coś twardego na poduszce oparcia: słuchawki. Sąsiedzi moi wyszli do wagonu restauracyjnego. Zawieszone na poręczy słuchawki śpiewały cicho do siebie. Może to niełądnie z mej strony, ale nie mogłem się oprzeć pokusie i włożyłem je na uszy. Właśnie kończyła się słodka pieśń i baryton ze stacji anonsował:

— Halo. Radjo Warszawa... Za chwilę wygłosi przemówienie pan prezes Rady ministrów Janusz Jędrzejewicz. Temat: „Budowa kultury".

Bagatela! Czyżby to jeszcze sen, czy jawa?.. Niby na falach najpiękniejszej pieśni unosiły mnie teraz słowa w krainę najśmielszych marzeń o dobrobycie, rozwoju, kulturze i potędze Polski. W Polsce jest lepiej, niż gdziekolwiek, a będzie jeszcze lepiej. Tyle już, tyle w ciągu 15 lat się zrobiło, reformy na lepsze, zwłaszcza w szkolnictwie, podążają w coraz szybszem tempie, kwitnie kultura duchowa, idziemy w coraz jaśniejszą przyszłość. Wiedzie nas...

Słuchałem w upojeniu, nawet pociąg przycichł zasłuchany. Rzeczywiście — stanął: Częstochowa. Premjer przestał mówić, a w uszach brzmiały mi wciąż słowa: „budujemy kulturę"!

„Budowa" kultury. Trzeba umieć przenieść się na kąt cudzego światopoglądu, aby zrozumieć ważność symboliki czyjegoś słowa. Budowa... W Polsce nawet kulturę się „buduje" przy pomocy pionu i kielni. W moim światopoglądzie pojęcie kultury ma w sobie coś organicznego, ulegającego wewnętrznemu rozwojowi. My nie stosujemy tego słowa do spraw cywilizacji materjalnej, chyba w przenośni, jako miarę zdobytego przez technikę poziomu, przyczem mamy na myśli rękę ludzi kulturalnych, którzy w danej wyżynie poziom utrzymują (np. kultura rolna, leśna, kolejowa i t. p.), a to przez analogję do kultury (duchowej) lekarskiej, adwokackiej, biurokratycznej, literackiej, artystycznej, towarzyskiej, nadewszystko politycznej, obowiązującej mężów stanu.

— — — — — — — — — — — — —

Uważam za fenomem nadzwyczajnej zbieżności wypadków, że powróciwszy do domu, zastałem na biurku pokaźny zeszyt nowego czasopisma „Kultura i wychowanie". Jakże się wszystko w życiu wiąże! Czyż to nie gra przeznaczenia, że odrazu będę mógł uspokoić wątpliwości, nasunięte przez radjo?

Czasopisma rzeczonego nakładcą jest zarząd główny Towarzystwa nauczycieli szkół średnich i wyższych, redaktorem zaś Bogdan Suchodolski, jeden z najgłębszych i najświetniejszych umysłów w młodem pokoleniu uczonych polskich. Zeszyt przedstawia się na oko zasobnie i estetycznie, zredagowany zaś jest z właściwą Suchodolskiemu starannością. Na treść zeszytu składają się rozprawy: B. Suchodolskiego „O wychowaniu" (rzecz o podstawach pedagogiki), zaczem następują dwie rzeczy, dotyczące zagadnienia „światopoglądu", mianowicie S. Hessena „Istota i znaczenie poglądu na świat", oraz St. Szumana „Cierpienia światopoglądowe młodzieży". Potem rozprawa Z. Łempickiego „Oblicze duchowe wieku XIX", R. Dyboskiego „Amerykanizm", St. Szobera „Człowiek współczesny w zwierciadle języka", A. Chętnika „Muzea regjonalne", K. Wyki „Norwid jako poeta kultury".

Jak widzimy z tematów, praca tutaj zorganizowana sięga wyżyn ponad sprawy techniki nauczania i zawodu nauczycielskiego w dziedzinę filozofji wychowania: jest to nadbudowa—jak widzimy z prospektu — nad „Przeglądem Pedagogicznym", stojącym na bardzo wysokim szczeblu wiedzy pedagogicznej, jako jego dodatek kwartalny. Zjawia się zaś takie wydawnictwo bardzo w porę, bo wtedy gdy jednocześne z nagłą reformą szkolnictwa skasowanie katedr pedagogiki i kultury oświatowej (L. Jaxy-Bykowskiego w Poznaniu i Kota w Krakowie) równa się zgaszeniu światła na drogach wychowania właśnie w czasie, gdy najbardziej stało się potrzebne. Czyżby w tem była myśl, że zachodnie drogowskazy przeszkadzają korzystać z nowych dróg, jakie się nadarzają?

Nowe czasopismo zapala nad sprawą wychowania światło górne, pozwalające widzieć połączenie zawodu wychowawczego z człowiekiem, szukającym w życiu w a r t o ś c i, nie tylko użyteczności. Ujmuje sprawę wychowania — jako „obronę kultury, czyli jako umacnianie osobowości, jako stwarzanie współżycia z ludźmi na płaszczyźnie wartości". „W tak pojętem widzeniu związku między kulturą a wychowaniem, dom i szkoła zyskują powiązanie, które wyrasta ponad unormowaną sieć stosunków wychowawczych i sięga najgłębszych i najbardziej odpowiednich problemów wychowania: ku czemu idziemy? w co wierzymy? do jakich ofiar jesteśmy zdolni?"

— — — — — — — — — — — —

Z tego już akordu pojęć, dźwięczącego w projekcie pisma, zorjentować się łatwo, że chodzi tu o sprawy głębsze i bardziej wiekuiste, niż w programach, tworzonych dla zaspokojenia chuci politycznej, czyniących z człowieka przedmiot doraźnej użyteczności w widokach jakiejś partyjnej doktrynki. Suchodolski ma na myśli, jako cel, — człowieczeństwo. „Wychowanie, które się rodzi z ducha miłości, nie zna tępego szablonu i ma jedną tylko zasadę: pogłębiać. Dlatego wychowywanie siebie i wychowywanie drugich jest jednym i tym samym procesem dążenia do pełni człowieczeństwa. Nie są to słowa doktryny, ale wyraz codziennej prawdy. Czegoż bowiem bardziej chcemy ponadto, aby być głębokim i pełnym c z ł o w i e k i e m, oraz by dzieci nasze były l u d ź m i?"

„Walka ze światem o pełnię człowieczeństwa jest istotną cechą wychowania". Autor upatruje trzy

niebezpieczeństwa, grożące człowiekowi od świata: 1) przesyt i relatywizm kulturalny (zbytnie rozszerzenie kręgu świata dla jednostki, pochłaniające jej czas i spokój wewnętrzny), 2) zmechanizowanie człowieka (człowiek — to numer w mechanizmie), 3) zanik zdolności współżycia. Przeciwko tym zjednoczonym wrogom człowieka powstaje na Zachodzie fala nowego humanizmu, stającego w obronie człowieczeństwa. Dąży on do takiej organizacji społecznej, któraby nie niweczyła osobowości. Na czele tej akcji stanąć musi nauczyciel. Przyszłość kultury nie spoczywa już w rękach polityków i ekonomistów; schroniła się ona do szkoły, z której wyjść musi na świat wszystko ogarniający duch nowego humanizmu.

Najważniejszą sprawą w wychowaniu jest rozstrzyganie o światopoglądach. „Ostatnie zdobycze" wiedzy pedagogicznej i techniki szkolnej nie wystarczają. Skuteczność wychowania jest sprawą głębszych wymiarów, niż zręczność techniczna. Istotne przeżycie wychowawczego wpływu ma w sobie coś pokrewnego religijnym nawróceniem. Akt wychowawczy — to wstrząs wewnętrzny, który harmonizuje całe jestestwo człowieka i dosięga korzeni jego osobowości. Na to niema recepty, jest to proces żywy. Jest on nierozerwalnie związany z tem wszystkiem, co w życiu jest twórczością, a więc z kulturą i z indywidualnością, która szuka nowych dróg.

Stąd wielka rola nauczyciela, który sam musi w taki sposób siebie wychować, on bowiem wychowuje „sobą".

— — — — — — — — — — — — — —

Każdy wiek ma swoisty sposób wypowiadania ideału swego życia, t. zw. światopoglądu. W obecnej porze likwidowania schedy po stuleciu XIX, na Zachodzie myśl filozoficzna do takiego właśnie przyszła poglądu na rolę człowieka, jak to przedstawia Suchodolski, który zagadnienie to gruntownie w literaturze współczesnej przestudjował. Być człowiekiem — to minimalny napozór, a jednak maksymalny postulat naszych czasów. Suchodolski wykłada rzecz w czasopiśmie; to, co wyżej streściłem, jest dopiero zagajeniem; oczekiwać należy rozwinięcia tej tezy, mianowicie, co się wkłada w pojęcie człowieka, będącego przecież tworem społecznym, nie zaś oderwaną jednostką, której ideałem mogłoby być kontemplowanie swej pełni i wartości. Mniemam, że z tą formułą człowieka da się pogodzić treść dumań i przeżyć polskich myślicieli XIX wieku, którzy również korzystali z inicjatywy ideowej Zachodu, ale ciężko (rzec można w krwawych przeżyciach) pracowali nad dostosowaniem ich do potrzeb duszy polskiej, do naturalnego tej duszy światopoglądu, który tylko szukał swego wyrazu. Oni szukali, jak Mickiewicz, który o sobie powiedział, że nie miał dnia takiego w swem życiu, żeby nie „szukał".

Wierzę, że „Kultura i wychowanie" będą szukały, nie można bowiem zaczynać od tego, że się już znalazło. To, do czego dzisiejsi krytycy schedy XIX stulecia na Zachodzie doszli, choćby taki Irving Babbitt, którego wpływ na wyżej przytoczone poglądy Suchodolskiego jest widoczny, sharmonizuje się doskonale z dorobkiem naszej polskiej myśli, o ile nie będziemy się upierali przy toczeniu tak modnego dzisiaj na Zachodzie procesu z historyzmem.

To mówię nawiasem, dążę bowiem do zaznaczenia faktu, jak bardzo dla naszych czasów znamienne jest wystąpienie Suchodolskiego. Idea powrotu do człowieczeństwa odpowiada ogólnemu nawrotowi życia do podstaw bytu. Rzec można, likwidacja wieku XIX przedstawia się, jak odpływ morza do głębin za nakazem praw fizyki; podobna jest cofaniu się w walce na uprzednio przygotowane pozycje. Człowiek, wyczerpany nadmierną ekspansją wiedzy i wysiłku, zmechanizowany, zagubiony w cywilizacji materjalnej, rozdrobniony na pył, marna jednostka statystyczna — cofa się w siebie. Ten sam odpływ widzimy w życiu politycznem narodów, wchodzących w siebie i szukających swej pełni osobowej, ten sam proces w stosunkach gospodarczych wyrzekania się wielkich ustrojów na rzecz małych warsztatów. A wszędzie w imię ratowania osobowości. Jednocześnie zaciągnięte na siebie chmury t. zw. „ludzkości" w postaci bezimiennego kapitału i pseudo-humanitaryzmu — stają się coraz przezroczystsze i pękają; już się pokazują—jak mówią dzieci—„baranki"; zapowiada się pogoda.

— — — — — — — — — — — — — —

Dożyliśmy dni wielkich przemian. Można się spierać — i trzeba się spierać — o dokładne ich rozumienie i metody urządzania życia na nowych podstawach, jednakże nie może być już sporu co do tendencyj nowego układu sił psychicznych. Godzą się tutaj z sobą myśliciele wszystkich krajów cywilizowanych Zachodu.

I to jest także pewna, że darmobyśmy szukali w tym świecie zachodnim ideału takiego, jaki się nam w Polsce nadarzył do przerabiania praktycznego na polu wychowania i kultury. Komuby tam przyszedł do głowy system niszczenia osobowości ludzkiej i narodowej, albo dziecinny pomysł Elity, opartej na zewnętrznem wyróżnieniu. Ideał wychowania i kultury, szukający dzisiaj dla siebie wcielenia, jest jednocześnie ideałem Elity i tylko w tym kierunku wolno bez kompromitacji do niej dążyć.

Wogóle jest rzeczą godną ubolewania, że w Polsce Staszica, Konarskiego, Śniadeckiego, Gołuchowskiego, Mickiewicza, Libelta, Trentowskiego, Cieszkowskiego, H. Kamieńskiego, Norwida, B. Prusa, Szczepanowskiego, L. Zarzeckiego, Dmowskiego — może się znaleźć miejsce dla mających obecnie kurs poczynań wychowawczych i dla koleżykowanej Elity. Skąd się wziął np. ideał młodzieńca z piersią na miarę... munduru policyjnego? Skąd się bierze propagowanie kłamanego, pustego Epimeteja i wogóle ten gwałt zadawany duszy polskiej, aby gardziła wartościami narodowemi? Nie jest to w „budowie kultury" styl polski.

Styl polski! Z powodu 15-ej rocznicy odzyskania niepodległości prasa warszawska, zabarwiona po żydowsku, pisze o Polsce tak, jakby ona była 15-letnim podlotkiem. Wszystko ma taki styl „arriwistyczny". Na budownictwo w tym stylu rzuciła promień swoistej wesołości inauguracja Akademji Literackiej. I tu były mowy, nadawane przez radjo, a z nich mogliśmy zrozumieć, że ta budowa kultury traktowana jest całkiem dekoracyjnie i na wesoło, jako wodotrysk przed gmachem rządowym, pełniącym rolę wieży ciśnień, wodotrysk z 15 tu Trytonami. Sens jednak nie jest zabawny. W 15-lecie odzyskania niepodległości pisarze „czołowi" zrobili prezent z niepodległości literatury, zrzekając się celów bardzo jasnych na rzecz celów niedostatecznie legitymowanych.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„NIE POTO ONA POWSTAJE, by z grona świetnych pisarzy wyróżnić najświetniejszych. Od tego są ordery i odznaczenia“.

Tak mówił minister Jędrzejewicz na inauguracyjnem posiedzeniu Akademji Literatury. Zaryzykujemy twierdzenie, że w całem swojem przemówieniu nic równie orginalnego nie powiedział. To był urywek najciekawszy, najlepiej odsłaniający sposób myślenia mówcy. Była w tem odezwaniu się pobłażliwość duża w stosunku do nowej instytucji. Minister nie żądał od niej rzeczy niemożliwych. Trudno ustalić, kto ze współczesnych jest pisarzem najświetniejszym. Rzecz tę łatwiej osądzi historja, niż pokolenie współczesnych. Zrozumiałe, że omylny ich sąd mógł i najświetniejszym pisarzom zamknąć drogę do Akademji. Tak musieli myśleć akademicy, usłyszawszy zdanie ministra: „Nie poto ona powstaje, by z grona świetnych pisarzy wyróżnić najświetniejszych“. Musieli doprawdy zdziwić się niespodziewanemu, sanacyjnemu biegowi myśli, kiedy prelegent objaśnił, że sposób jest — „od tego są ordery i odznaczenia“.

I sprawa rozwiązana. Najświetniejszych pisarzy znaleźć można — przy pomocy kryterjum orderów. Jakże to pomaga w ustaleniu zasługi istotnej, tej, której nie potrafi nawet ocenić Akademja— mimo pozorów kompetencji. „Od tego są“ ordery. Order, wzgiędnie inne odznaczenie, uwieńczy zasługę literata o wiele sprawiedliwiej, — niewątpliwie dlatego, że jest więcej państwowy.

Zdanie, wypowiedziane nawiasowo, przez ministra Jędrzejewicza, jak przypomniana odniechcenia, banalna prawda, wiele pozwala zrozumieć z sanacyjnego sposobu myślenia. Więcej może, niż obszerne oświadczanie p. Sławka, że ordery będą wskaźnikiem, wedle którego skompletowana zostanie polityczna elita. Czuć było wtedy, że to pomysł, który wykluł się mozolnie, i ma być tylko transparentem, przykrywającym rzeczywistość życia. W nawiasowej uwadze min. Jędrzejewicza brzmi o wiele więcej serjo ton państwowy. Nie trudno p. Sławkowi wierzyć, że kto ma order, ten może wybierać senatorów. Ale o wiele większej sztuki dokazał premjer Jędrzejewicz, który wierzy, że kto ma order, ten jest najlepszym pisarzem. Tu jest postęp. P. Sławek rzucił hasło. P. Jędrzejewicz rozwinął je naprawdę świetnie.

PRZEKOMICZNY przykład polemiki znajdujemy w „Pionie“ (Nr. 6). Polemizuje p. Pomirowski (Pomper) z p. J. N. Millerem, autorem „Zarazy w Grenadzie“. Zgóry zapowiada, jakim tonem będzie mówił. „Mówmy otwarcie—może brutalnie, ale uczciwie i po męsku“. I „po męsku“ atakuje wroga bez przyłbicy. „Czy p. Miller nie wziął od znienawidzonego rządu dobrych kilku tysięcy złotych w formie subwencji literackiej...?“.

Następnie przechodzi do określenia charakteru i zadań pisma.

I, od słowa do słowa, coraz brutalniej:

„Jesteśmy pismem literackiem, którego ambicją jest dawać dobrą literaturę i dobrą krytykę, unikać koteryjnej jednostronności, partyjnej i literackiej — dążyć do uchwycenia istotnego oblicza epoki, zajmować możliwie objektywną i sprawiedliwą postawę wobec każdej rzetelnej kulturalnej wartości, bez względu na jej polityczny rodowód...“ Brzmi to bezwzględnie, ale „uczciwie i po męsku“. Może aż ordynarnie, ale przeraźliwie jasno powiedziane: „dążyć będziemy go uchwycenia istotnego oblicza epoki“. I niemniej brutalnie, niż o p. Millerze, pisze p. P. o „Pionie“: „zajmować będzie możliwie objektywną i sprawiedliwą postawę...“

Ale jest w artykule tym coś śmieszniejszego, niż sposób, w jaki p. P. dotrzymał zapowiedzi. Kamieniem obrazy stał się mianowicie podniesiony przez p. Millera przeciwko pisarzom „Pionu“ zarzut serwilizmu.

„Zapytujemy p. Millera, co go upoważniło do tych niesłychanych inwektywów, na jakiej podstawie ośmiela się zarzucać „Pionowi“ serwilizm...? Czy aby p. Miller rozumie, co znaczy słowo serwilizm? Jest to wysługiwanie się komuś lub czemuś dla korzyści materjalnych, z pominięciem ideowej podstawy oraz godności osobistej“. I to jest niewątpliwie najśmieszniejsze, że postępowy p. Pomirowski do tego stopna nie orjentuje się w przewartościowaniu wartości, iż pomówienie o serwilizm, dawniej dla pisarza przykre, jeszcze i teraz, w ósmym roku ery pomajowej, poczytuje za zarzut.

Tymczasem „serwilizm“, w sanacyjnem pojęciu, jest właśnie tem przezwyciężeniem anarchji społeczeństwa, które jest głównym tytułem chwały pomajowego okresu. Czemże innem szczyci się Bezpoglądowy Blok Współpracy z Rządem, jak nie tem, że każdy członek Bloku rezygnuje tam z własnych poglądów? „Serwilizm“ jest podstawą, fundamentem Nowego Państwa. A p. Pomirowski obraża się o słowo. Nie o słowo przecież chodzi, lecz o treść. Można rzecz nazwać inaczej. Czy obraziłby się p. Pomirowski, gdyby padła inwektywa: „Współpracujący z rządem we wszystkich jego poczynaniach pisarze „Pionu“...“?

Jest to rażące zacofanie, jeśli redaktor sanacyjnego pisma do tego stopnia żyje pojęciami doby ubiegłej, że pominięcie ideowej postawy oraz godności osobistej dla celów współpracy z rządem uważa za ujmę dla jednostki. Nieistotne natomiast wydaje nam się zastrzeżenie, że sewilizm musi mieć koniecznie za pobudkę korzyści materjalne. Więc serwilizm ze strachu to już nie będzie serwilizm? Albo „pominięcie ideowej podstawy oraz godności osobistej“ — dla zdobycia szacunku u dobrze myślących obywateli — też nie będzie? To właśnie jest najzabawniejsze, gdy pisarze, kąpiący się w blaskach cywilizacji sanacyjnej, i dobrze opaleni, ni stąd ni zowąd sykną, że któryś promyk parzy.

OSCHAMIENIU mówi się dużo już teraz, przy różnych okazjach. A przecież, formalnie przynajmniej, nie weszliśmy jeszcze w okres rządów elity. Pod *régime*'m demokracji chamstwo zaznaczyło się jako nowy, i dobijający się uznania, styl życia w obyczaju publicznym. Ale niewątpliwie dopiero era rządów elity będzie erą całkowitego zwycięstwa nowego stylu. Zwycięstwo to zostało dobrze przygotowane. Chamstwo w życiu publicznym, byle stanowcze i mocno zaakcentowane, już teraz w części społeczeństwa spotyka się z objawami najwyższego szacunku. Nie występuje pod swem imieniem. „Cham“ napozór się gdzieś zawieruszył. Nic zabawniejszego, jak próby odnalezienia go na niewłaściwem miejscu, tam gdzie nie-

ma go lub gdzie mało znaczy. Nic znamienniejszego, jak próby powieściopisarzy stworzenia konwencjonalnego, sztucznego chama, jakby rzeczywisty nie miał wpływu na życie i nie istniał. A czemże innem jest np. pracowita powieć Kadena: „Mateusz Bigda", niż próbą wymyślenia takiego chama, jakiego w naszem życiu publicznem niema? Znamienne jest to zapóźnienie powieściopisarzy w stosunku do zachodzących w życiu procesów. Zbyt duże chamstwa jest w życiu, zbyt łatwo odniosło przewagę nad innemi stylami, żeby je umieli zauważyć. Szukają go, jak igły w kopie siana, gdy nie trzeba wcale tak wysilać i męczyć wzroku. Przecież widać je wszędzie, w całem wielkiem uproszczeniu, jakie do stylu życia publicznego wprowadzono. Widać je w prawdzie, uproszczonej do kłamstwa, w etyce walki, uproszczonej do nierycerskości, w sprawiedliwości uproszczonej... Czy niedokładnie będzie twierdzenie, że obyczaj cywilizowany uprościł się do chamstwa? Wielu ludzi przyjęło teraz fakt z męstwem, jako przezwyciężenie najgorszych tradycyj politycznych dawnej Polski. Nowy styl wymaga, aby kopać przeciwnika tylko leżącego. Obsypywać obelgami nadewszystko wtedy, kiedy nie ma możności replikować. To już bardzo weszło w obyczaj, i nie razi wcale zabierających głos w tych warunkach. Elita ma usankcjonować uroczyście ten stan rzeczy. Ale byłaby to uroczystość, mimo wszystko, raczej formalna. Należałoby pomyśleć i o innych zabiegach. Np: Państwowa Odznaka Sportowa: czy to nie jednostronne ujęcie rzeczy? Czy nie należałoby, zwłaszcza w dobie, gdy uwydatnia się coraz więcej znaczenia orderów i odznak, ustanowić także Państwową Odznakę Niesportową? Dekorować nią możnaby jednoski, które wyróżniły się wybitnie niesportowem zchowaniem na polu walki politycznej. Odznaka ta, jako wieńcząca kwalifikacje natury moralnej, dawać powinna prawo głosowania do Senatu, w odróżnieniu od Państwowej Odznaki Sportowej, nadawanej wyłącznie za przewagi fizyczne. Obie odznaki nawzajem znakomicieby się uzupełniały, nie wyłączając się bynajmniej: owszem, chlubnieby sobie mogły towarzyszyć.

NAUKA I LITERATURA

„POEZJA IDĄCA"

Od SZEREGU LAT, głównie na gruncie krakowskim, czynna jest grupa poetów, która do roku 1927 wydawała swoje czasopismo p. t. „Zwrotnica", a teraz wydaje „Linję". Ostatni zeszyt owej „Linji" wydano łącznie z powtórzeniem czterech poprzednich, co stworzyło tomik na oko pokaźniejszy, a całość opatrzono podtytułem: „Front ogólny. Głos poezji idącej". Ponieważ redakcja „Linji" stwierdza niechęć, obojętność i milczenie społeczeństwa względem poezji, której „Linja" jest przedstawicielem, więc w imię bezstronności zapoznajmy się z nią w sposób możliwie najbardziej objektywny. Przeczytajmy w tym celu naprzód dwa przepisane z „Linji" utwory typowe. Pierwszy p. t. „Pejzaż kobiecy" brzmi, jak następuje:

„Kobiety o nogach wielkich — jak u Braque'a /biegały dokoła pejzaży z lasów i z palm/ kobiety o twarzy pingwinów /kobiety brunatne z las palmas/ kobiety z alp i z apeninu /o piersiach jędrnych jak cytryny chinek/ o krzaczastych pachach ptaków /o włosach zaczesanych w grecję/ i ustach pachnących ojczyzną /i miętą/ podnosiły wzdęte puchliną pachwiny /przekłute myślami jak rozkoszą /i/ z pejzażami z pępków w oczach /jak ptak/ jak aeroplan /jak wykrzyknik wskazujący kierunek/ z stopami gimnastycznie rozprężonemi /których kąt rozwarty ponad uśmiechem z karminu/ i popod deltą /muślinem/ rozdartą /wskazuje na anatomicznej karcie/ morze /a może nie to/ może to?".

Dla oszczędności miejsca osobne wiersze utworu oddzielamy tu kreskami, zwłaszcza że nawet spójnik „i" stanowi często w tych utworach wiersz osobny. Ta sama uwaga stosuje się do następnego utworu p. t. „Brzytwy":

„O ósmej rano brzytwy z chrupotem /prą w zarostach/ na czwartem piętrze domu świeższego od mrozu. /Nowego paroksyzmu młody esteta dostał/ gdy ryczał pod pryszn̄icem wywalając ozór. /Śnieg na górach soczysty, dymią włochate konie/. Że pozostaje tylko materja do badania /i tylko jej ciekawa tajemnica/ któż mógłby powiedzieć: /dobrze to czy źle?/ Na szczęście jeszcze niebo skórą i mięsem przesłania /kobieta wzdłuż rozdarta/. Usta moje ssie /pijawka ziemi, która natychmiast po zgonie/ spadnie w wody nicości przerażającej mózg. /Dzieje/ dzieje /takie były dzieje człowieka/. Czas jak koń z lekkim śmiechem nad urwiskiem niósł".

W tym rodzaju, a czasem jaskrawsze, są wszystkie utwory poetyckie „awangardy", z łamów „Linji" przemawiającej. Utworom artyzmu towarzyszą rozprawy teoretyczne. Typową dla tych rozważań myślą jest następująca:

„Ale nie prawa maszynowej produkcji podają rytm poecie, lecz prawa współczesnej konsumpcji.. Nie miarowy ruch fabrycznych maszyn rytmizuje upodobania dzisiejszego człowieka, lecz tramwaj czy taksówka, kolej żelazna, czy płatowiec lotniczy czy wystawy sklepowe".

Ogół pracy, dokonanej przez tę grupę poetycką, podsumowuje redaktor „Linji" p. Jalu Kurek w słowach następujących:

„Czy łaskawy pan albo droga pani wierzy już, że polska myśl nowatorska żyje nadal w literaturze i rozwija się? Naprzekór niepoczytalnym krytykom, którzy o wysiłkach awangardy piszą stale w czasie przeszłym— tych rzeczy nie da się zamilczeć. Same wołają o stanowisko dla siebie. Umiejscawiamy je więc wśród nienawiści, prostactwa i ignorancji — o ile możności spokojnie i pewnie. Przeczytajcie sobie ten nasz głos zbiorowy. Kto wie, czy nie przyznacie się do naszych namiętności. Są one udziałem nowoczesnych, rozumnych ludzi literatury. Do nich należy przyszłość".

Oddając pod osąd czytelników te próbki twórczości i myśli teoretycznej poetów „awangardy", redakcja „Myśli Narodowej" wyraża pewność, że będzie usprawiedliwiona z milczenia, którem troskliwie osłania „polską myśl nowatorską w literaturze". Każde w tej sprawie słowo byłoby z naszej strony okrucieństwem, a tu do okrucieństwa mógłby mieć bezsporne prawo tylko psychjatra. Przypomnijmy jedynie, że „Linja" wywodzi ród swój z idej dawnego „Skamandra", żywych obecnie w „Wiadomościach literackich".

ST. P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Stanisław Piotr Koczorowski wydał „Wspomnienie o Władysławie Mickiewiczu 1838—1926 r.", (Warszawa—Paryż 1933, Księg. Gebethnera i Wolffa). Autor, bibljotekarz, następnie Kustosz Biblioteki Polskiej w Paryżu, a obecnie bibljotekarz Bibljoteki Narodowej w Warszawie, tłumacz pamiętników Władysława Mickiewicza, przez szereg lat, jako współpracownik naukowych pism francuskich i autor studjów literackich, pisanych po francusku, starał się zainteresować intelektualne sfery francuskie kulturą polską. W tej dziedzinie pracy, także jako założyciel i prezes Stowarzyszenia Studentów Polskich w Paryżu i członek zarządu Tow. Pomocy Społeczno-Kulturalnej dla Wychodźtwa Polskiego we Francji, i w codziennej współpracy w Bibljotece, zżył się z Władysławem Mickiewiczem. W swem nowem studjum podaje szereg wiadomości z jego życia: pisarza, wydawcy i księgarza.

Ognisty temperament Władysława Mickiewicza, siła przekonania i opromieniające jego ruchliwość sławne i ukochane przez naród nazwisko ojca wytwarzały wokoło jego osoby wyjątkowo podniosłą atmosferę. Koczorowski wyszczególnia i zestawia w chronologicznym porządku liczne w przededniu powstania styczniowego rozjazdy Władysława Mickiewicza po kraju i zagranicy, i wymienia jego francuskie artykuły polityczne i manifesty, wydania dzieł, przekładów, korespondencji, dokumentów oraz wydawnictwa „Bibljoteki Ludowej Polskiej“ w Paryżu, których to książek „więcej bodaj ze swej księgarni rozdał, niż rozsprzedał“. „Wspomnienie“, poza metodycznym skrótem rezultatów literackich i wydawniczych, jest wiernym portretem psychologicznym patrjoty minionej epoki, który, jak umiał, wedle najlepszych swych sił, służył sprawie. U schyłku życia wszystko, co miał, zbiory gromadzone od lat piędziesięciu, poświęcone czci Adama, przekazał w darze Bibljotece Polskiej, a następnie Akademji Umiejętności w Krakowie. „W czasie wielkiej wojny... pracuje niezmordowanie nad wyławianiem Polaków z obozów francuskich jeńców wojennych, organizuje pomoc materjalną dla polskich ofiar wojny we Francji“ i t. d.

Firma Gebethner i Wolff zapowiada wydanie trzeciego tomu „Pamiętników“ Władysława Mickiewicza w przekładzie St. P. Koczorowskiego. Będzie to, jak i nadmienione „Wspomnienie“, cennym dla literatury mickiewiczowskiej nabytkiem.

(A. W.)

*

„Nie święci garnki lepią“ — powiada popularne przysłowie, które ma dużo racji, ale nie zupełną. Dziś fabrykuje maszyna dziennie tysiące różnych naczyń — nawet t. zw. „wyrobów ludowych“..., ale dalibóg ludźmi świętej cierpliwości musieli być ci nasi prapraojcowie, którzy z niewdzięcznej gliny, z błota poprostu, wyrabiali w pocie czoła prymitywny i kruchy zbiornik na wodę czy inne potrzeby. A że to było jedno z najdawniejszych i najniezbędniejszych rzemiosł ludzkich, świadczy olbrzymia ilość prastarych przysłowi i pieśni, związanych z garncarstwem, a zachowanych wśród wszystkich narodów; u narodu tak praktycznego, jakim byli Rzymianie, czynność lepienia garnków — *fictio* — stała się synonimem wszelkiej czynności twórczej, ba nawet fantazji poetyckiej, zmyślenia (fikcji). Tej wędrówce wyrazowego znaczenia przestaniemy się może dziwić, gdy wspomnimy, do jakich szczytów artystycznego piękna i pomysłowości dochodziła niekiedy sztuka garncarska, obok snycerstwa najstarsza chyba ze sztuk stosowanych. Wszak istnieją wazy greckie, których wartość, oceniana w złocie, równa się wartości sporego majątku ziemskiego...

O greckich właśnie wazach przedewszystkiem, ale nietylko o nich, opowiada przystępnie, przejrzyście i zajmująco prof. K. Bulas w książeczce „Keramika grecka“ („Bibljoteka Filomaty“, Lwów), która przy swej popularności ma wartość prawdziwie naukową, nietylko dzięki rzetelnej wiedzy autora, jego bystrości i jednocześnie ostrożności sądu, ale i przez imponującą obfitość ilustracyj, jaką poszczycić się nie może żadne analogiczne wydawnictwo polskie: ile stron, tyle ilustracyj — i to każda z nich oparta o najlepsze w świecie zbiory ceramiczne; wśród nich figuruje i Polska, dzięki cennym wazom, znajdującym się w Gołuchowie, Krakowie, Lublinie i Łańcucie.

Poza grecką sztukę sięgają informacje wstępne, dotyczące początków ceramiki. Krótko ujął autor epokę przedhelleńską (mykeńską i kreteńską), by szeroko zająć się sztuką attycką, która stworzyła nietylko nazwę ceramiki (od ateńskiego Keramejku), ale i największą ilość stylów ceramicznych. Wśród nich największe upowszechnienie znajdują dwa style: najpierw czarnofigurowy, następnie wyrazistszy, czerwonofigurowy. Z rozwojem samej sztuki rozkwitają coraz to inne kształty naczyń glinianych, a przybywają coraz to nowe motywy zdobnicze, od rysunków geometrycznych do scen mitologicznych, historycznych i obyczajowych. Poza Attyką kwitnęło też garncarstwo, ale już w mniejszym stopniu (Apulja); słusznie krytykuje Bulas rozpowszechnioną nazwę „waz etruskich“, które etruskiemi wcale nie były, bo i one wyszły z warsztatów greckich... (J. B.).

TEATR

„KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI“

„Kościuszko pod Racławicami“ — to jedno z najgorszych, najniedbalej wyreżyserowanych i najsłabiej odegranych widowisk, jakie kiedykolwiek mieliśmy okazję oglądać na scenie Teatru Polskiego. Na widowisko to sypnięto niewątpliwie sporo pieniędzy. Sprawiono kosztowne dekoracje, nowe kostjumy, zaangażowano tłum statystów. Pieniądze te jednak zostały zmarnowane. Dekoracje — projektowane przez Frycza — wykonano po partacku, kostjumy uszyto koszlawo, statystów nie zdołano należycie wyćwiczyć. Reżyserję powierzono Zelwerowiczowi, który odtworzył również rolę prezydenta Krakowa — Lichockiego. Znakomity ten skądinąd reżyser odniósł się do utworu Anczyca z niepojętem lekceważeniem. W pracy reżyserskiej poszedł po linji najmniejszego oporu, przeniósł do Warszawy stare szablony prowincjonalne, nie zdobywając się na najmniejszy bodaj wysiłek twórczy. W rolę Lichockiego nie włożył również serca. Nie wydobył z niej ani części tego komizmu, jaki umiano z niej wydobywać na deskach teatru lwowskiego i krakowskiego, Samborski jako Bartosz Głowacki, Warnecki jako Kościuszko, Daczyński jako Abram — Frietszhe, Socha, Justjan o wiele za słabo przejęli się swojemi rolami. Grali zimno, bez najmniejszego wzruszenia. Nic dziwnego zatem, że nie potrafili wzruszyć widowni. Źle wymusztrowane wojsko, pozbawieni temperamentu kosynierzy, zupełnie wyprani z komizmu żydzi... wszystko to wyglądało bardzo żałośnie. Na trzeciem przedstawieniu sztuki widzów było tak niewielu, że aktorom musiało być bardzo przykro.

ZASTĘPCA

FILM

Atlantic: „Szpieg w masce“, scenarjusz Marczyńskiego. Postępy, jakie robi film u nas, są bezporne w zakresie techniki. Djalogi naszych pierwszych dźwiękowców brzmiały całkiem niezrozumiale: łatwiej było Polakowi, w owych czasach, nawet przy słabej znajomości języka, domyśleć się, co mówi aktor w filmie amerykańskim, francuskim i t. d. Teraz technika dźwięku niewiele pozostawia do życzenia: głos aktora brzmi czysto i naturalnie, jego modulacje odtwarza film z dostateczną ścisłością.

Do tych zdobyczy technicznych trzeba dorzucić opanowaną jeszcze przedtem umiejętność fotograficzną operatorów — fotografja była mocną stroną nawet wielu naszych najsłabszych filmów. Gorzej nieco przedstawia się technika modelowania twarzy, zwłaszcza aktorek, w zbliżeniach, przy pomocy światłocienia. Pod tym względem operatorzy czasem zawodzili, dając płaską, szarą twarz na szarem tle.

Te wszystkie cechy, stanowią jednak podstawowe *minimum* i mamy prawo wymagać od każdego, kto pracuje nad filmem, opanowania jego arkanów. Znajomość rzemiosła, sama przez się, nie wystarcza, nabiera wagi dopiero wyzyskana do celów artystycznych. Czy filmowcy nasi nie robią postępu w tym zakresie? Odpowiedź na to pytanie będzie nie nazbyt pocieszająca. Różnica między pierwocinami, a szeregiem ostatnich utworów oczywiście jest, acz nie tak widoczna, by można było na jej podstawie mówić o jakichś sukcesach artystycznych. W najlepszych wypadkach całość wypada poprawnie, przy dobrych paru pojedyńczych fragmentach. Jeśli już nic nie razi, i to dobrze, dawniej bywało gorzej.

Zalety takiej przeciętnej poprawności cechują również „Szpiega w masce“, a raczej bez maski, bo jej tam niema. Wprawdzie z początku film bierze wcale ostre tempo (popisy i ćwiczenia lotnicze), lecz wszystko się urywa, gdy do głosu dochodzą ludzie (dosłownie). Ordonówna za wszelką cenę pragnie w nas wmówić, że potrafi być „wampem“, uwodzi młodego lotnika, którego ojciec (J. Leszczyński) jest znakomitym wynalazcą. Kwestja: usidli, nie usidli? zbyt się rozrasta na całą niemal długość taśmy, spychając w kąt kilka momentów żywszych. Rozbijają całość, a jeszcze bardziej szkodzą tempu dwie przydługie wstawki: popisy w kabarecie kobiety-szpiega, naturalnie śpiewaczki kabaretowej.

Ten cały „gips“ ma być podobno niesłychanie sensacyjny (w mniemaniu autorów filmu): ja, osobiście, nie wiem, na czem to polega; bo chyba taki romansik (usidli, nie usidli?) amatorom utworów sensacyjnych, w lepszym stylu, nie wystarczy. Zresztą zrobić dobry film sensacyjny nie jest wcale tak łatwo, do tego też trzeba mieć trochę fantazji i sporo pomysłowości reżyserskiej. W roli lotnika wystąpił debjutant, Jerzy Jur-Pichelski, młodzieniec o szczerej i sympatycznej twarzy. Niebardzo jeszcze wiedział, jak się ruszać, co mu chętnie wybaczymy, gorzej — że był mazgajem i nie zawsze postępował tak, jak lotnikowi przystoi. Ale trudno, to już wina scenarjusza. Rolę szefa kobiety-szpiega kreował Samborski, zawodowy Pochroń naszych filmów, a szefem polskiego wywiadu był (co za dziki pomysł!) miły chłopiec, Igo Sym.

Na zakończenie parę słów o statystach. We wszystkich filmach u nas, bez względu na miejsce akcji i rodzaj lokalu, wytworne „towarzystwo“ robią jakieś zakazane typki. Jakieś poprzebierane kuchty, jacyć fornale w smokingach, w najlepszym razie kilku alfonsowatych mośków. Skąd oni biorą takie buzie, ci nasi filmowcy?

P. S. Pierwsza z dwu śpiewanych piosenek ma niezłe zacięcie, druga — nudna.

KANDYD

MUZYKA

FILHARMONJA. Bardzo pożyteczną instytucją są poranki symfoniczne Filharmonji Warszawskiej, trzeba jednakże przyznać, że nie mają one dotychczas wyraźnego założenia; trudno się bowiem zorjentować, czy zadaniem ich jest popularyzowanie dobrej muzyki (przykładem niedawne koncerty beethovenowskie i wagnerowskie, lub zapowiedziany na dzień 19 listopada koncert, poświęcony twórczości Schuberta), czy też produkowanie t. zw. muzyki popularnej. Jak dotychczas, Filharmonja oscyluje pomiędzy temi dwoma założeniami— czas już wreszcie, ażeby zdecydowała się, i to stanowczo, na pierwszą koncepcję. W przeciwnym bowiem razie nie tylko mija się z jednym ze swoich celów i przez usiłowanie dostosowania się, jak sądzi, do poziomu publiczności, daje przykład tej linji, która jest zawsze dowodem ubóstwa artystycznego i wiedzie ku upadkowi, ale popełnia również błąd, wespół zresztą z teatrami, których doświadczenie z przyciąganiem widza lżejszym i płytszym repertuarem niczego prawie jeszcze nie nauczyło. W rezultacie publiczność ominie i złą sztukę teatralną i zły koncert.

Przykładem tego był poranek niedzielny dnia 12 listopada.

Afisze zapowiadały, że będzie on poświęcony muzyce Polski niepodległej. Zauważyć należy, że samo już uczczenie faktu odzyskania bytu państwowego przez poranek popularny jedynie, jest conajmniej nietaktem, zwłaszcza, że miał on charakter tandetnie zorganizowanej uroczystości.

Biuletyn koncertu poprzedzono wstępem, który mówi o „...smętnym poszumie rodzimych pól i lasów...“ Wstęp ten nastrajał słuchających na nutę zarówno pierwszego utworu Maliszewskiego „Z polskiej niwy“, gdzie przewijały się motywy „Bogarodzicy“ i mazura i piosenki legjonowej, jak i ostatniego, którym była poprostu „wiązanka“...

W tych ramach odegrano koncert fortepianowy Nawrockiego „z hymnem zwycięstwa“, wykonany przez orkiestrę stanowczo za głośno, tak, że nieomal stale zagłuszała fortepian, na którym grał kompozytor, nie mówiąc już o miejscach, gdzie odzywały się fanfary, poemat symfoniczny Jareckiego „Chimera“ i już niewiadomo zupełnie dlaczego, fragmenty baletu „Lalita“ — Wieniawskiego.

Bardzo byłem ciekawy koncertu, poświęconego muzyce Polski niepodległej, a szczególnie tego, jakie i czyje utwory będą ją reprezentowały. Samo już zadanie, jakie Filharmonja powinna sobie była postawić, odpowiedź na pytanie, co jest właśnie tą muzyką, nasuwało szereg myśli i refleksyj, których poranek niedzielny nie dostarczył.

Odłożyć je należy do innego razu.

ZMARLI

Ś. P. JAN LEMAŃSKI

ZMARŁ w Warszawie w dn. 11 listopada r. b. słynny i ceniony poeta ś. p. Jan Lemański. W ostatnich latach, oddany pracy zarobkowej, jako urzędnik państwowy, mało pisywał; tem się tłumaczy, że szeroki ogół, tak odnowiony teraz i żądny nowości, mało o nim wie.

Urodzony 7 lipca 1866 r. w Głażewie (w Płockiem), w Płocku ukończył gimnajum. Kształcił się dalej w uniw. warszawskim na wydziale prawnym. Osiadłszy w Warszawie, był urzędnikiem na kolei i wreszcie — nieśmiały z natury — dał się namówić na wystąpienie w „Głosie“. Pierwsze utwory zamieszczał w „Głosie“ (1896—1899). W tych latach się ożenił z poetką Marją Komornicką, pożycie jednak wspólne trwało krótko.

Autorzy życiorysów ś.p. Lemańskiego, jak widzę w dziennikach (np. A. G. Siedlecki w „Kur. Warsz.“) mylnie oznaczają datę wystąpienia poety na polu literackiem. Zaczynał nie w „Chimerze“, lecz w „Głosie“. Pierwsza jego bajka „Lis i gęś“, drukowana w r. 1896 (kwiecień) w nr. 15 „Głosu“ zwróciła na Lemańskiego powszechną uwagę, druga ogłoszona była w nr. 27 („Osioł i mewa“); pierwszy większy poemat „Amor i Psyche“ ukazał się w „Głosie“ w czerwcu 1897 (nr. 23). Zaczem poszły inne utwory, coraz gęściej, do końca 1899. Do „Chimery“ wstąpił ś. p. Lemański już jako dojrzały i znany pisarz. Tam pierwszym jego utworem był, zdaje się, „Wół i żóraw“.

Lemański był melancholikiem, z natury nieśmiałym i skromnym. Rozochocił się w „Głosie“ do pisania dzięki ścisłemu zżyciu się przyjacielskiemu z gronem redakcyjnem [Z. Wasilewski, Wł. Jabłonowski, L. Włodek, B. Kokowski, S. Karpiński (do r. 1897), A. Lange, S. Żeromski, Wł. Reymont i inni]. Niezapomniane były „symposiony“ w tem kółku na czarnej kawie u Lourse'a na Marszałkowskiej.

Pierwszy tom poezyj wydał w r. 1902. Były to „Bajki“, słynne bajki. Od r. 1901 drukował je w „Chimerze“; tam zespolił się duchowo z Z. Przesmyckim (Miriamem), co się wyraziło w jego artystycznym światopoglądzie. W r. 1904 wyszła jego Proza ironiczna, w 1905 *Colloquia*, albo rozmowy, w 1906 Ofiara królewny, oraz Nowenna, 1909 — Prawo własności, 1910—Baśni o prawdzie; w 1911 wydał 4 książki: Noc i dzień, Czyn (satyry, piosenki), Kamień filozoficzny i Jasełka, 1912—Zwierzyniec, 1916 — Bajki o zwierzętach; w r. 1920 ukazało się 5 książek: W kraju słońca, Złota rybka, Lis na dworze królewskim, Księga rodzaju, Tao; w r. 1921 — nowele Prawo mężczyzn, 1923 — Toast, bajki powojenne. Od tego czasu milczał.

Pisali o Lemańskim, zawsze z wielkiem uznaniem, krytycy: Wł. Jabłonowski (Rozprawy i wraż. literackie. 1908), Z. Dębicki (Portrety, t, I), A. Nowaczyński (Wczasy liter.), J. Lorentowicz (Młoda Polska, III), Z. L. Zaleski (Dzieło i twórca, 1914), Miriam (*Pro arte*, 1914), Feldman (Piśmiennictwo, III).

Lemański był niepospolitym artystą. W sztuce znajdował dla siebie program i środki, ale tem różnił się od parnasistów, że jednak poza sztuką czuł obecność „ojczyzny“ drugiej, realnej i z pasją serdeczną obserwował życie. Patrzył z góry, więc ironicznie; to mu nie wystarczało, więc imał się bata satyry. Był nieśmiały, z ludźmi nie lubił się bratać czułością ani gniewem, dlatego pewno uciekał się do formy ezopowej bajki. Smagał zwierzęta uczłowieczone.

Odrodził bajkę i postawił na wyżynie nowoczesnego artyzmu poetyckiego. Była tam i liryka ironiczna i dramat— cały się wypowiadał w bajce. Satyryczna ciętość łączyła się w utworach jego z wytwornem snycerstwem formy, głębokie spojrzenie — z wyiskrzonym brylantami dowcipem. Wzorowy język literacki, porównywany przez krytykę do łanu pszenicznego, stawiał go w pierwszych szeregach pisarzy polskich. Dobroć serca przezwyciężała złośliwość; gdy widział, że batem satyry nie wskóra, próbował po dobroci (kamień filozoficzny).

Igrający kontrastami Lemański sam był kontrastem rówieśników swoich w Młodej Polsce, lubiących chadzać na koturnie. Przez to samo dodawał literaturze światła, które zbogaca barwą obraz epoki. Znaczenie takie dla ostatniego okresu literatury ma przedewszyskiem A. Nowaczyński. Lemański stworzył odmianę tego gatunku, aby tem większy budzić podziw dla bogactw twórczych natury polskiej.

Lemański będzie żył trwale w literaturze. Tem spokojniej mógł umierać, jeśli miał to przeświadczenie. Życie go męczyło, życie jest uciążliwe dla natur wrażliwych, gdy się dzielić trzeba między dwa światy, a dusza chciałaby tylko świata sztuki. Ironiści polscy prędko wyczerpują siły, bo żyją podwójnie, dławiąc w sobie liryzm.

W Lemańskim żegnamy poza artystą człowieka prawego i dobrego. Tem cięższą żałobą okrywa nas śmierć jego.

Z. W.

OFENSYWA

GANGRENESANS

Do p. Wacława Rogowicza przyszedł Geldhab ze Świętokrzyskiej i zaproponował mu przetłumaczenie pewnej książki; taki a taki termin, a tyle i tyle daje. Pan Rogowicz, *homme de lettres* w poprawnym gatunku t. zw. Paryżan *„in partibus infidelium"*, ani książki ani autora nie znał. Zapoznawszy się z książką, powinien był zatelefonować do Geldhaba ze Świętokrzyskiej dysponując, aby się natychmiast stawił w jego *studio*. Po przyjściu Geldhaba powinien był p. Rogowicz przemówić doń w te słowa:

„...Słuchaj kasztanie. Zdaje się, że zwróciłeś się pan pod złym adresem. Autorzy francuscy, którymi ja dotychczas się zajmowałem, należą do całkiem innej rangi i żyją, względnie żyli w całkiem innym klimacie. Z geszefciarzami ze Świętokrzyskiej nie będę się nad tem rozwodził. Właściwie powinienem pana zwymyślać, co się zowie, a potem może nawet... tego... ze schodów. Ale panu przebaczam, ponieważ, jako handełes, nie wiedziałeś, do kogo z taką propozycją się zwracasz. Ale żeby mi to było po raz ostatni! Jeżeli przyniesie coś godnego i złoży tu 2 tysiące *à conto*, to zrobimy interes. Ale z takiem świństwem i z takiem draństwem niech mi się tu nie waży. *Au rêvoir*!

Tymczasem stało się, niestety, inaczej. Kryzys! A że w czas kryzysu „krezusami" względnie „krezulusami" zostali jeszcze tylko ci ze Świętokrzyskiej, więc p. Rogowicz handełesa wydawniczego nie przepędził i do tłumaczenia książki się zabrał...

Nie będzie się tu przypominało świetnemu znawcy francuskiego pisarstwa, ile to tomów powinno być tłumaczonych, ile setek dzieł pierwszorzędnych czeka na polskich tłumaczów i z ilu to zmarłych autorów nie przetłumaczono ani jednego tomu. Pan Wacław Rogowicz sam mógłby, względnie powinien taką listę sabotowanych pisarzy francuskich sporządzić i opublikować. Gdy się porówna komplet roczny naszych przekładów z francuskiego, z kompletem tego, co się z francuskiego tłumaczy na niemiecki, nie, nawet na czeski język, to wprost.. wstyd za nasz... dobór. Dość powiedzieć, że (poza beletrystyką) nie przetłumaczono nic z Lassere'a, z Lansona, z Siegfrieda, z Lichtenbergera, z Wyzewy, ze Strowskiego, z Bremonda, Barrésa, Thibaudeta, Maurrasa, Massisa, Daudeta, Bendy, Gaultiera i z tylu, tylu innych! A tymczasem?

Tymczasem rzuca w bulwary paryskie worek swoich najordynarniejszych żygowin jakiś pokąsany przez psa wściekłego gynekolog. Wabi się dr. Destouches. Bóg go czy djabeł obdarzył nie żyłką, a żyłą pisarską. Plebejski obserwator życia o szatańsko mocnym wzroku, słuchu i węchu, o grubych łapach chirurga, o zatrutym, śmierdzącym oddechu. Był na wojnie, a z wojny wyniósł obłędną, plugawą i głupowatą nienawiść do cywilizacji i do ludzkości. Zwierz jest zły, jak „Tymon Ateńczyk" Szekspira, a zionie jak szekspirowski Caliban. Zapewne, że talent, ale z tych talentów, które dla dobra i spokoju ludzkości możnaby bez ceremonji po debiucie wysyłać na gilotynę (*in effigie*). Wywąchał wszystkie kąty ze szpitali wenerycznych i z takich doświadczeń i z takich rozmyślań nad chorującą czy gnijącą częścią ludzkości spreparował księgę żażaleń, zgrzytań i ataków czystej wścieklizny.

Czy była tedy nagląca potrzeba i zdrowy sens tłumaczenia takiego gnoju? Że... „nowy Zola"? Co pięć lat jest taki „nowy Zola" w Paryżu.

Nie tak dawno odkryto tam jeszcze genjalniejszego. Wszystkie eskroki i parszywce z tygodników i bulwarowych międzynarogówek wyły też w niebogłosy. Wabił się George Anguetil. Napisał: *„La Maitresse légitime"*. Odkrycie i wycie. Napisał *„Satan conduit le bal"*. Znów wycie recenzyjnej sfory w bulwarówkach. Ćwierć miljona egzemplarzy. Genjusz naturalizmu! Drugi Zola! Nieustraszony pogromca pruderji! Kolumb kloak paryskich!

W kilka lat potem poszedł do kryminału za szantaże.

Céline bez szantaży powinien iść do Guyany na tak długi termin aż wyzdrowieje. Przyswajanie językowi polskiemu kolejno trzeciego już czy czwartego dzieła w tym guście (rajonego przez żydostwo) jest, mówiąc najdelikatniej .. luksusem. Po Lady Chatterley przyszedł berliński „Fabian". Po „Fabianie" angielska Lesbijka, polecana gorąco polskim czytelniczkom przez dwie semitki, p. Krzywicką i p. Appenszlak[1]).

[1]) „W „Źródle samotności" znajdujemy zatem radości i bóle miłości lesbijskiej. Lecz, co jest najbardziej znamienne i ciekawe w tej książce, to fakt, że obrazując z całą bezwzględnością życie lesbijek, nie pozostawia ona niesmaku, ani wrażenia rozwiązłości, tylko przeciwnie, zadziwia subtelnością uczuć w momentach drażliwych i porywa ogromnem napięciem rozedrganych strun duszy ludzkiej".

A teraz znów ładunek gangrenesansu przez *juiverie* rozdętego, drańskiego, smrodliwego ekshibicjonizmu, ekscytującego w tym sezonie tylko tę *swołocz* międzynarodową, która się zwaliła na Paryż. Ostatecznie i taką padlinę psychologiczną rozwścieklonego „medyka" można przeczytać sobie po francusku jako *curiosum*, jako kliniczny dokument upadku smaku do poziomu rynsztoków pod zamtuzami; Żydy *polyglotty* przeczytałyby to sobie w oryurygunale. Ale po kiego djabła przyswajać taki wyziew czy wylew genjalności paryskiego troglodyty językowi polskiemu, któremu jeszcze tysiąca świetnych książek francuskich nie przyswojono? Czyż dla p. R., tłumacza Berbey d'Aurevilly'ego, Leconte de L'Isle, de Villiers Adama, Mallarmé'go i t.p. nie musiało być wprost męką fizyczną, torturą fizjologiczną babranie się w tym języku kanalji i kanalarzy? Ile wysiłku musiało kosztować wybrednego, intelektualnego smakosza dobieranie gwarowego guana, podniecającego „fantazje" dziś już ziewających nad Boy'em Salomek z P-YPSU?

Pan Rogowicz w szlachetnej ambicji nie tyle wylegitymowania się, ile raczej w swem... „ostatniem słowie"... nieoskarżonego..., aby jako tako usprawiedliwić niewyrzucenie za drzwi typa z szpetnym obstalunkiem..., rozpowiada w rozumowanych reklamach a raczej rekłamach swego wdepnięcia w świat (*underworld*) doktora Destouche'a, że to jakiś „protest przeciw współczesności"... „Niech zginie ustrój społeczny, który do takiego stanu doprowadza"...

Co to znaczy? Co to ma jedno z drugiem wspólnego? No i od kiedy to p. Wacław Rogowicz poszedł w rewolucjonery? To jest *duperie*, wykręt niesmaczny... Bo niby co? Czy te wszystkie ohydy odrażające w innym ustroju byłyby niemożliwe? Czy w innym ustroju nie będzie bydlaków egoistycznych, macior matołkowatych, łajna, łajniaków, łajdaków, ludzi-pluskiew, ludzi-stonogów i wogóle ścierwa? No i skąd ta awersja do istniejącego „ustroju społecznego" u szermetra tak wytwornego, dystyngowanego, szykownego, żyjącego zapachami Paryża, który, o ile wiadomo, w ruchu komunistyczno-rewolucyjnym udziału nie brał i nie bierze, w areszcie żadnym za jakiekolwiek przewiny polityczne nie siadywał, wogóle nigdy w nie się nie „angażował" i istniejącego ustroju właśnie jest „użytkownikiem" i niejako kwiatem? Czyż to byłaby taka ot sobie kokieterja, snobowanie, moda na komunizm w pyjamie przy koniaku? Cocktailowe światoburstwo? Nie chce się wierzyć!

Ustrój społeczny dzisiejszy bowiem o tyle jest, jeżeli nie dobry to znośny, o ile pozwala egzystować i kwitnąć utalentowanym ludziom, kultywującym piękno bez wielkich zresztą wysiłków...

I o tyle jest zły, o ile zmusza orjentującego się artystycznie pracownika pióra do przyjmowania zamówień wydawniczych od pierwszego lepszego Geldhaba ze Świętokrzyskiej ulicy.

Korrygować ustrój ten można więc i samemu, przepędzając takiego kusiciela ze Świętokrzyskiej do wszystkich djabłów.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Z tą Akademją Literacką to istna loterja państwowa. Na 700 rejentów w kraju los padł na rejenta Lesmana w Zamościu. Ten ma szczęście: mianowano go naprzód Leśmianem, potem rejentem, teraz zostaje członkiem Akademji! Szukasz szczęścia — wstąp na chwilkę. Bodaj to wstąpić do Polski.

*

Znowu wielka radość w świecie literackim. Kaden-Bandrowski mianował się generalnym sekretarzem Akademji Literackiej ze stałą pensją. Nowa posada — już dziewiąta!

— Już 9-ta... jak ten czas leci!

*

Kiedy na żądanie Cara powołano do Akademji Naukowej w Petesburgu księcia Dondukowa-Korsakowa, nie mającego nic wspólnego z nauką, Puszkin puścił w świat wierszyk, który w przekładzie brzmi tak:

W Akademji Nauk
Zasiadł kniaź Dunduk.
Powiadają: nie wypada —
Skądże takie odznaczenie?!
Więc dla czegóż tam zasiada?
Poprostu: bo ma siedzenie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.